

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WALERY PRZYBOROWSKI
MŁODZI GWARDZIŚCI

POWIEŚĆ Z OBLĘŻENIA WARSZAWY
PRZEZ PRUSAKÓW W ROKU 1794

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ROZDZIAŁ I

W którym jest mowa o Tomku, pani Antoniowej i peruce pana Gugenmusa.

Ulicą zwaną Kamienne Schodki ciężko posuwał się młody chłopak, dźwigając na ramieniu ogromny kosz z żywymi rybami, które ciągle się rzucały i tym sposobem utrudniały jeszcze bardziej mozolne podnoszenie się po schodach wąskich, a po wczorajszym deszczu dość śliskich.

Było to dnia 13 lipca 1794 r.

Właśnie dnia poprzedniego zerwała się niezwykła burza nad Warszawą, z ulewnym deszczem, wichrem i piorunami. Mnóstwo dachów pozrywała, kominów powywracała, a nawet, jak ludzie mówili, na przedmieściach wiele drzew powyrywała z korzeniami, kilkanaście parkanów naobalała, a dwóch chłopaków pod Marymontem piorun zabił. W samym mieście piorun uderzył w wieżę zamkową, a choć szczęśliwie po niej spłynął, zerwawszy tylko kilka dachówek i osmaliwszy mury, jednak ludzie uważali to za bardzo zły znak i różne stąd wyprawdzali wnioski.

Za to dzień dzisiejszy, 13 lipca, był prześliczny i ciepły, i jasny. Powietrze odświeżone wczorajszą burzą było lekkie i czyste; słońce, choć to godzina była dość wczesna, bo zaledwie szósta rano, dopiekało mocno. Pocił się też biedny chłopak wspinający się na Kamienne Schodki i dźwigający na ramieniu ciężki kosz z rybami. Na koniec z wielkim mozołem wydobyl się na Rynek Staromiejski, kosz postawił na ziemi, odetchnął, ciężko obtarł rękawem koszuli pot z czoła i spojrzął przed siebie.

Był to chłopak smagły, zręczny, może 18 lat liczący, z twarzą otwartą i szczerą, mocno opaloną od słońca, z barkami szerokimi, rękami żyłastymi, znamionującymi niezwykłą siłę. Stał i patrzył na rzeński ruch, jaki się na Rynku Staromiejskim rozwijał. Był to piątek, dzień targowy i na obszernym placu stało mnóstwo fur włościańskich z nabiałem, jarzynami i ptactwem domowym. Warszawskie przekupki, rybaczki, tak zwane zieleniarki sprzedające włoszczyznę roztasowały się dokoła ratusza i gwar panował tu nie lada.

Gdy tak chłopiec patrzył, nagle uderzył go ktoś lekko w ramię i zaraz też rozległ się głos silny i męski.

– Tomek! A cóż to ty nie idziesz bić Prusaków?

Chłopak żwawo się obrócił. Przed nim stał zakonnik jeszcze młody, w brunatnym habicie franciszkańskim, w butach wysokich juchtowych, w ciemnej konfederatce na głowie, z dwoma pistoletami za pasem i szablą u boku. Na ramiona miał rzucony lekki płaszcz kamlotowy. Stał i patrzył czarnymi, surowymi oczami na chłopaka, który zdjął kapelusz, pocałował księdza w rękę i rzekł:

– Proszę księdza kapelana, ja bym był już dawno poleciał, bo mi się aż na płacz zbiera, kiedy sobie pomyślę, że inni Niemców biją, a mnie tam nie ma, ale cóż, kiedy nie mogę.

– Dlaczego nie możesz? Cóż to! nie jesteś zdrow i rzeński?

– Zdrow to ja jestem i Niemców bym tłukł, żeby aż wióry leciały, ale któż zostanie przy starej babusi? Ksiądz kapelan przecie wiedzą, że ja jestem jedyną jej podporą. Jakże ją ostawić samą?

– Hm! dobry z ciebie chłopak. Pan Jezus ci to wynagrodzi, że tak dbasz o swoją babkę – odrzekł ksiądz i pomyślawszy chwilę, a widząc łzy w oczach chłopaka, dodał:

– No, no! nie martw się, jakoś to będzie. Teraz w Warszawie jesteś potrzebny, bo jeno partrzeć, jak Prusaki tu przyjdą. Już ja pomyślę o tym... Bądźże mi zdrów. Ja tam, jak mi tylko czas pozwoli, zajrzę do twojej babki. Nie becz, bo gdzież to kto widział, żeby taki chłopak duży beczał?

To rzekłszy, ksiądz poklepał Tomka po ramieniu i ruszył żwawo naprzód. Tomek postął jeszcze chwilę, obtarł oczy zroszone łzami, podniósł kosz z rybami i puścił się pod ratusz. Tam, za dużym stołem, z dwoma wielkimi cebrami obok, w których pluskały się ryby, siedziała niemłoda już, ale czerstwa kobieta, ubrana z waszecia i pilnie patrzyła na zbliżającego się chłopca.

– Jesteś na koniec! – zawołała głosem krzykliwym i donośnym. – Jużem myślała, że nie przyjdiesz. Ciekawam, gdzieś się włóczył? A tu do mnie ciągle przychodzą: – Antoniowa, macie żywe karpie, macie żywe liny? A ja nie mam nic, jeno czekać muszę, aż ten gułaj raczy przyjść...

– A przecie, babko, śpieszę!

– Śpieszysz, śpieszysz! Już ja znam twój pośpiech. O czym ci gadał ks. Karolewicz?

– Widzieliście i to?

– A co nie miałam widzieć? Ja wszystko widzę. Już cię pewnikiem namawiał do wojska...

Nie skończyła, bo nagle na ganku ratuszowym ukazał się pachołek miejski z bębniem i począł na nim bębnić i wołać głosem donośnym:

– Mości panowie, schodźcie się!

Bębnił z całej siły, tak że zagłuszył gwar miejski.

Wszyscy zwrócili oczy na ratusz i zbiegać się poczęli. Obok pachołka stał z jednej strony kapitan municypalny, pan Traugutt, z drugiej takież kapitan, pan Majewski, obaj w koletach granatowych, w kapeluszach i przy szablach.

– Mości panowie, schodźcie się! – krzyczał, co miał sił pachołek miejski.

Wtem na schody prowadzące na ganek ratuszowy wskoczył jakiś osobliwszy człeczyzna, mały, chudy, z dużą głową w peruce, ubrany z niemiecka w kapotę koloru piaskowego, której długie poły sięgały mu prawie do kostek, w kamizelę czerwoną ze świecącymi guzikami, w obwisłe, czarne, jedwabne pluderki, w pończochy i trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Na głowie miał maleńki kapelusik stosowany, a przy boku szpadę. Twarz miał dużą, wygoloną, ospowatą, oczy maleńkie, czarne, rozumnie patrzące i cały kręcił się jak fryga. Wskoczywszy na schody przypadł do kapitana Majewskiego i kłaniając mu się zręcznie, zapytał:

– Jakże to, obywatelu kapitanie, pozwalasz temu kpu wołać: „mości panowie”?

Kapitan, który był ogromnego wzrostu, barczysty, z wąsami jak wiechcie, spojrzał z góry na maleńkiego człowieczka i spytał wolno, głosem basowym:

– A jakże on ma wołać, mości Gugenmusie?

– Przede wszystkim, ja nie jestem żaden mości, jeno obywatel i...

– Aha... to o to idzie!

– A o to! On powinien wołać: obywatele! schodźcie się!

Dwa ostatnie wyrazy człowieczek nazwany Gugenmusem wykrzyknął z całych sił, głosem piskliwym i cienkim, tak że kapitan uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał i rzekł:

– Idź no acpan do swoich zegarów, a w sprawy, które do ciebie nie należą, nie wtrącaj się, radzę acpanu...

Gugenmus chciał coś jeszcze odrzec, ale w tej chwili wysunął się naprzód kapitan Traugutt i ze wszystkich sił wołał:

– Z rozkazu Jaśnie Wielmożnego Naczelnika oznajmiam wszem wobec i każdemu z osobna, że za daniem znaku alarmu na okopach i od armaty pod Zygmuntem wszyscy obywatele

mają się brać do broni, zgromadzać pod swymi setnikami po cyrkułach i ruszać za miasto, na okopy, a to pod najsurowszą odpowiedzialnością.

Słowa te powtórzył trzykrotnie, po czym razem z dobozem i kapitanem Majewskim zeszedł z ganku i wyruszyli na Nowe Miasto, jak mówiono, żeby tam to samo ogłosić.

Tymczasem Tomek stał nieruchomy i jakby zasłuchany w słowa kapitana Traugutta, gdy z tej zadumy obudził go krzykliwy głos babki.

– I czego stoisz, gamoniu? czego się gapisz? Czy to ciebie dotyczy? Takich kpów jak ty na wojnie nie potrzebują.

– Cóż też obywatelka mówi? – zapiszczał przy niej głos Gugenmusa – jakże to może być, żeby taki dzielny młodzieniec nie poszedł na okopy, kiedy trzeba bronić Polski!

– A nie pójdzie, bo jest on jeszcze młokos i mnie słuchać musi, a acan nie wściubiaj nosa, gdzie nie trza! – zawołała Antoniowa.

– Moja pani Antoniowa – ozwie się nowy, gruby głos – co też to gadacie? Doprawdy, wstyd mi za was i gdyby nieboszczyk Antoni a mój kum to usłyszał, toby się skreślił z hańby i drugi raz umarł... jako żywo, drugi raz by umarł.

Usłyszawszy to Antoniowa, choć była już kobietą niemłodą, zerwała się z ławy na równe nogi i nuż wołać:

– Panie Wieprzowski, żebyś acan nie był przyjacielem mego nieboszczyka, tobym ci nawymyślała tak, żebyś uciekł aż na Podwale. Cóż to?! buntujesz mi chłopaka? taki to przykład dajesz?

– Dobry przykład, dobry przykład ten obywatel daje – zapiszczał Gugenmus.

– Ej, ty pludrze, nie odzywaj się, kiedy do ciebie nie gadają! patrzcie go! jaki mi mądrala!

Ale w tejże chwili zjawiała się nowa osoba. Był to zakonnik Karolewicz, ten sam, który niedawno z Tomkiem rozmawiał. Zbliżył się nieznacznie i zapytał:

– O cóż to idzie? czego to pani Antoniowa tak się gniewa?

Odpowiedziano mu, choć zrazu trudno przyszło zrozumieć, bo wszyscy troje naraz mówili, a Antoniowa najgłośniej.

W końcu wysłuchawszy wszystkiego, ksiądz rzekł:

– Moja jejmość, ja to dobrze rozumiem, że Tomek jest jedyną twoją podporą w starości, ale pamiętaj też, że ojczyzna jest pierwszą niż matka nawet rodzona. A przy tym Tomek ma lata odpowiednie i pan Adam Blum, który jest setnikiem, z pewnością go wezwie na okopy, choć jejmość nie pozwolisz.

– A jakże to może być, przecie ja babka rodzona?

– Będą się tam obywatelki pytać o to! – zapiszczał Gugenmus.

– Cicho byś był, ty pludrze! – krzyknęła Antoniowa.

– Hi! hi! hi! – śmiał się Gugenmus, machając swymi chudymi i długimi rękami, przy czym wskutek gwałtownych ruchów mąka mu się sypała z peruki, tak że pan Wieprzowski począł kichać, jakby zażył tabaki.

Tymczasem ksiądz mówił dalej:

– Wszelako położenie jest takie, że trzeba coś dla jejmości zrobić, bo inaczej z głodu byś umarła bez Tomka.

I obracając się do Wieprzowskiego i Gugenmusa, rzekł:

– Obywatele! ja proponuję, byśmy co tydzień składali się na utrzymanie pani Antoniowej. Ja dam dwa złote!

– A ja dam trzy! – zapiszczał Gugenmus.

– To i ja dam trzy – odezwał się Wieprzowski – przecie to wdowa po moim kumie. Dam trzy... co nie mam dać... a bodaj acana, mości Gugenmus, z tą mąką! ahu!... ahu!...

– To nie mąka, to taki puder!

– Bodaj acpana, ahu!... ahu!... idź acpan trochę dalej, bo mi co pęknie jeszcze w brzuchu... ahu!...

Ksiądz Karolewicz zwrócił się do Antoniowej.

– Więc będziesz jejmość miała osiem złotych na tydzień... i bez Tomka dasz sobie radę. Cóż, dobrze?

Antoniowa poczęła płakać i całować księdza po rękach.

– A dobrze, dobrze, mój dobrodzieju i jeżeli się opierała co do Tomcia, to jeno z obawy o niego. Niech Pan Jezus da dobrodziejowi zdrowie!

Ułożono się szczegółowo, że pan Gugenmus będzie zbierał pieniądze i oddawał Antoniowej i że Tomek zaraz pójdzie do pana Adama Bluma na Podwale i zapisze się u niego do straży obywatelskiej. Po czym wszyscy się rozeszli, tylko pan Wieprzowski rzekł do Gugenmusa:

– Żebym był acanem, tobym poszedł do Prusaków i tak im tam trząś łbem, żeby się wszyscy od tej mąki zakichali. Ahu! ahu!

ROZDZIAŁ II

Jako Tomek jedząc flaki dowiedział się o wielkiej tajemnicy.

Pan Adam Blum, majster ślusarski i właściciel kamienicy na Podwalu, był setnikiem straży obywatelskiej. Był to już człowiek niemłody, liczył koło pięćdziesięciu lat, ale jeszcze rześki, czerstwy jak rydz i gorączka wielki. Do niego to Tomek, po układzie zawartym przez księdza Karolewicza z babką, wyruszył wprost z rynku, żeby zapisać się do straży obywatelskiej pierwszego cyrkułu. Biegł, co miał sił, przez ulicę Piekarską, podskakując z radości. Taki był kontent, że będzie mógł na koniec bić Prusaków i że o babkę może być spokojny, jak gdyby drugi raz na świat się narodził. Leciał więc jak szalony, wesoło pogwizdując.

Nagle na skrócie na placzyk zwany Piekiełko natknął się, a raczej wpadł na dużego chłopca, cienkiego jak tyka, wysokiego, ubranego w mundur gwardii municypalnej, z wielką szablicą przy boku i rusznicą przez plecy przewieszoną. Popchnięty silnie przez Tomka duży chłopiec potoczył się aż w rynsztok, przy czym ledwie utrzymał się na swych cienkich i niezwykle długich nogach. Oburzyło go to, wyprostował się, chwytając nagle za szablę, krzyknął cieniutkim i zabawnym w tak wysokim chłopaku głosem, wytrzeszczając przy tym małe, czarne oczy:

– A to co, do stu paraluszów!

Ale widać poznał zaraz Tomka, bo zawołał:

– Tomku, wariacie, a ty gdzie lecisz?

Tomek zatrzymał się na miejscu, a przypatrzwszy się długonogiemu młodzieńcowi odrzekł:

– Wiertelewicz! jak się masz? no, bądź zdrów!

I zawrócił, chcąc biec dalej. Ale Wiertelewicz wyciągnął swe chude, długie ręce i chwycił Tomka za połę kubraka, zatrzymał na miejscu:

– Czekaj no, nie śpiesz się! Gdzie ci tak pilno? Mam ci coś rzec.

– Nie mam czasu. Lecę do pana Bluma.

– Po co?
– Zapisać się do gwardii.
– Takich smyków jak ty do gwardii nie zapisują, jeno do straży.
– To wszystko jedno.
– Otóż nie jedno.
– Bądź zdrów... nie mam czasu!
– Czekał no, mam ci rzec coś ważnego.
– Nie mogę, śpieszę się!
– No, to idź, niech cię gęś kopnie. Dobrze, że się zapisujesz. Więc ci babka pozwoliła?
– A pozwoliła.
– Na koniec! idź więc. Ale wróć zaraz; czekam na ciebie u flaczarki Nowakowskiej, na ulicy Piwnej. Przyjdź, kupię ci flaków i pogadamy. Mam ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Dobrze?

– Dobrze!
– Przyjdiesz?
– Przyjdę.

To rzekłszy Tomek kopnął się dalej, co miał sił, wypadł na Podwale i znalazł się wkrótce przed kamienicą pana Bluma. Wewnątrz niej, na niewielkim podwórzu stała gromadka młodych ludzi. Pan Blum siedział na zydlu przy stole i do dużej księgi wpisywał obecnych. Tomek wmieszał się między nich i gdy wszyscy byli zapisani, wysunął się naprzód i pokłoniwszy się panu setnikowi, mnąc czapkę w rękach rzekł:

– I ja bym też chciał się zapisać.

Pan Blum spojrział na niego surowo i spytał:

– A dlaczego tak późno, mociumdziu? Taki zdrowy chłopak dawno już powinien być w straży. Jak się zwiesz, mociumdziu?

– Tomek Landikier.

– A! Landikier... czekaj no, mociumdziu... a, to ja cię znam. Wnuk rybaczki Antoniowej?

– Tak, wielmożny panie.

– Nie jestem, mociumdziu, wielmożnym panem, teraz nie ma wielmożnych panów, jeno obywatele... rozumiesz, mociumdziu!

– Rozumiem, proszę pana.

– Otóż, mociumdziu, jesteś koronny głupiec. Ja mu mówię, że teraz nie ma panów, a on swoje. Masz mię, mociumdziu, nazywać obywatelem setnikiem.

– Dobrze, obywatelu setniku.

– Tak. Więc zwiesz się... jak? bom zabaczył.

– Tomasz Landikier.

Pan Blum umaczał ogromne gęsie pióro w wielkim kałamarzu, zrobił żyda na czystym papierze księgi i zaklął głośno; po czym po krótkim wahaniu zlizął go językiem i splunął energicznie. Nareszcie wzdychając i sapiąc ciężko, z wielkim trudem wypisał niekształtnymi literami nazwisko Tomka.

– Gdzie mieszkasz?

– Na Starym Mieście w kamienicy pana Gagatkiewicza.

Na te słowa pan Blum szarpnął się niecierpliwie i krzyknął:

– Mówiłem ci, baranie jakiś, mociumdziu, że teraz nie ma żadnych panów, jeno obywatele. Cóż to, mociumdziu, za łeb zakuty! Zróbże tu co z takimi osłami! Ma tu być wolność i Polska! Jak śmiesz nazywać mnie, Gagatkiewicza, panem? Masz mówić, mociumdziu, obywatel Gagatkiewicz albo Gagatkiewicz. Rozumiesz?

– Dobrze, obywatelu setniku! – odrzekł Tomek nieco przestraszony tym wybuchem nagle-go gniewu obywatela.

Obywatel Blum uspokoił się, mrużąc coś pod nosem, wziął pióro do ciężkiej i spracowanej ręki i znowu zapytał:

– Więc gdzie mieszkaś?

– Na Starym Mieście w kamienicy obywatela Gagatkiewicza.

– No, nareszcie!

I setnik, ciągle sapiąc, zapisał miejsce zamieszkania. Skończywszy tę czynność zamknął księgę, pióro ostrożnie wsadził w kałamarz i powstając rzekł do obecnych:

– Wiecie, mociumdziu, że Prusaki już są pod Warszawą i że będziemy się z nimi bili. Gdy więc strzelą z armaty pod Zygmuntem, macie się stawić wszyscy z bronią, jaką kto ma, a kto nie ma, to dostanie. A teraz bądźcie zdrowi!

Wszyscy wyszli, a Tomek już teraz wolnym krokiem, mocno zamyślony choć uradowany wewnątrz, pociągnął na ulicę Piwną do flaczarni obywatelki Nowakowskiej.

Flaczarnia ta, sławna na całe miasto z doskonałości i smakowitości swej kuchni, mieściła się w kamienicy ojców augustianów, podle kościoła św. Marcina, w dwóch izbach od ulicy, wielkich i silnie sklepionych, jednak dość ciemnych i dusznych. Wchodziło się tu z sieni i każdego zaraz uderzał silny zapach flaków, które spożywało mnóstwo osób siedzących przy niewielkich stoliczkach ustawionych wzdłuż ścian.

W głębi pierwszej izby, za ladą królowała na wysokim zydlu sama właścicielka tego zakładu, kobieta tęga, otyła i z trudnością się ruszająca. Ubrana w strój mieszczek warszawskich, w wielkim czepcu ze szlarkami i wstążkami gorąco żółtymi, bystrymi oczami obrzucała wszystkich, baczną ciągle mając uwagę na kilka dziewcząt usługujących gościom. Dziewczęta te, ubrane skromnie i czysto, biegały jak frygi, roznosząc dymiące się miseczki z flakami, nie mogąc nastarczyć tego przysmaku licznym jego amatorom.

Kiedy Tomek tu wszedł, Wiertelewicz kończył już swą ucztę i właśnie teraz starannie miseczkę chlebem wycierał, chleb ten łakomie łykając. Siedział w kącie izby, a długie jego cienkie nogi w wysokich butach z ostrogami wystawały na środek. Gdy Tomek przysiadł się do niego, zaraz Wiertelewicz swym piskliwym, prawie kobiecym głosem zawołał do jednej z usługujących dziewcząt:

– Obywatelko Zuziu, proszę o miskę flaków z soporkiem¹. Prawda Tomek, że chcesz z soporkiem?

– Dobrze, wszystko mi jedno.

– Jakiś ty! to wcale nie jest jedno. Trzeba ci wiedzieć, że jakkolwiek u obywatelki Nowakowskiej wszelkiego rodzaju flaki są dobre, wszelako najlepsze są z soporkiem. Probatum est.

Wśród tego „obywatelka” Zuzia przyniosła miseczkę dymiących flaków, kromkę chleba i łyżkę blaszaną i wszystko to postawiła przed Tomkiem. Wiertelewicz wyciągnął swą długą szyję, zajrzał do miseczki, pociągnął zapachu wielkim nosem i rzekł:

– Do stu Prusaków! tak pięknie pachną te flaki, a soporek wydaje mi się tak zawiesistym, że jakkolwiek już jedną miskę zjadłem, skuszę się jeszcze na drugą. Ojoj! Za to będę lepiej prał tych Niemców. Obywatelko Zuziu, proszę jeszcze o miseczkę flaków, ale z soporkiem, koniecznie z soporkiem! nieodzownie z soporkiem!

Skoro sobie już nieco podjedli, Wiertelewicz z miną tajemniczą, nachylając się do ucha Tomka rzekł:

– Bardzo dobrześ zrobił, mój Tomku, żeś się zapisał do straży. Od dawna już szukam pomocnika w pewnej bardzo ważnej sprawie, pomocnika, na którym mógłbym w zupełności polegać.

– Cóż to za sprawa? o co idzie?

¹ Sos zawiesisty

– Powiadam ci, brachu, sprawa bardzo ważna, od niej zależy los Warszawy, a może i Rzeczypospolitej.

– No! no! cóż to takiego?

Wiertelewicz obejrzał się ostrożnie dokoła, przysunął swój zydeł do Tomka i spytał prawie szeptem:

– Znasz ty Żyda Wolfa Hejmana?

– Wolfa? nie! cóż to za jeden?

– Ale co ty mi mówisz! znasz go doskonale. Ojjoj! i jak jeszcze. Sam widziałem, jak przed szabasem kupował od ciebie ryby. Taki wysoki, tęgi, z dużą, siwą brodą. On na Konwiktorskiej ulicy ma sklep z futrami; bogacz wielki.

– A! wiem już, wiem. Wolf! znam go. On nieraz do pana prezydenta chodzi na ratusz. Znam go. Bogacz, ale Żyd porządny.

– Łotr ostatni, powiadam tobie. Wart szubienicy, hultaj przeklęty!

– Czy to może być? co też ty gadasz?

– Gadam prawdę.

To rzekłszy znów się przysunął do Tomka, nachylił mu się do samego ucha i szeptał.

– Wiesz, że ja także mieszkam na Konwiktorskiej, naprzeciwko domu i sklepu tego Żyda. Już od kilku dni zauważyłem, że do niego różne Żydki przynoszą i odnoszą jakieś pisma, a wszystko to się robi skrycie i w wielkim sekrecie. Wczoraj w nocy postawiono mię na straży od Powązek, i cóż powiesz, patrzę, a jeden z takich Żydków przemyka się cichaczem krzakami ku obozowi Prusaków. Rzuciłem się za szelmą, ale mi się gdzieś zawieruszył. Ja ci powiadam, że ten Wolf jest szpiegiem i ma konszachty z Prusakami.

– Bój się Boga, Jacuś, a to trzeba szelmę schwytać.

– Ba! nie tak to łatwo i ja sam temu nie poradzę. Dlatego cieszę się, żeś przystał do straży. Cyrkuł pierwszy, do którego należysz, wysyłany bywa zwykle na Powązki. We dwóch scapiemy Żyda.

– Mnie się widzi, że trzeba o tym powiedzieć panu Blumowi.

– A to na co? A nuż mnie się zdaje? Oskarżać o taką haniebną zdradę obywatela, ojjoj! to pachnie sądem. Jak będziemy mieli w rękę dowody, to co innego. Wtedy zobaczymy!

W tejże chwili wszedł do izby obywatel Gugenmus, w peruce obficie mąką posypanej, z kapeluszem stosowanym pod pachą, uśmiechnięty, kłaniający się i witający ze wszystkimi.

Gdy go Tomek spostrzegł, rzekł do Wiertelewicza:

– Wiesz co, Jacuś, powiedzmy o tym panu Gugenmusowi. On poradzi, co i jak robić.

– Hm! – zamyślił się Wiertelewicz – może ty masz rację. Zaraz go tu poproszę.

Nagle, gdy wstawał, rozległ się huk działa i ponury odgłos bębna.

– Do broni! – zagrzmiały głosy.

Wszyscy porwali się jak szaleni i chwytając za czapki poczęli z izby wybiegać.

Tomek i Wiertelewicz to samo uczynili.

ROZDZIAŁ III

Jako obywatel Blum oświadczył, że lepiej gęsi paść, niż być setnikiem straży obywatelskiej.

Kiedy Tomek i Wiertelewicz pędem wpadli na Plac Zygmunta, już tam ze wszystkich stron zbiegła się straż obywatelska cyrkułu pierwszego. Wiertelewicz na swych cienkich i długich nogach gnał tak szybko, że Tomek ledwie mógł za nim nadążyć. Zdyszany mocno, myśląc jedynie o tym, żeby nie stracić z oczu swego towarzysza i na nic innego nie zważając, gdy się znalazł na placu, potracił tak silnie jakiegoś grubego obywatela ubranego w mundur straży, że ten byłby upadł, gdyby go nie powstrzymał pan Wieprzowski, który stał z karabinem opartym o ziemię i pośpiesznie zapinał na sobie mundur obywatelski.

Potracony żwawo się obrócił i Tomek na wielki swój przestach poznał w nim swego setnika, obywatela Adama Bluma.

– Do stu paraluszów! – krzyknął setnik, wytrzeszczając swe małe, niebieskie oczy – co ty hultaju wyprawiasz! Kto ty jesteś, smyku jakiś, mociumdziu!

Tomek, przerażony, całkiem stracił przytomność; stał czerwony jak burak, zmieszany mocno i milczał uparcie. Ale na szczęście wybawił go z tego kłopotu Wiertelewicz. Zbliżywszy się i przykładając rękę do czapki rzekł:

– Obywatelu setniku, to Tomek Landikier, szeregowiec z mojej dziesiątki.

– Uf! – odetchnął ciężko obywatel setnik, bo był mocno otyły – to aspan mości Wiertelewicz takich wartogłowów, mociumdziu, masz w swej dziesiątce i tak ich aspan pilnujesz, że swoich naczelników rozbijają? Czekać, mociumdziu, ja was nauczę moresu! Żebyś mi aspan tego hultaja paliwodę postawił na całą noc na warcie na okopach, rozkazuję!

– Słucham, obywatelu setniku!

Wydawszy ten surowy rozkaz obywatel Blum spojrział z surowością na Tomka, który stał skamieniały, nic nie rozumiejąc, po czym odwrócił się i zawołał:

– Do szeregów!

W jednej chwili setka straży, która już cała się zbiegła na plac, ustawiła się w szeregi. Wyglądała ona dość zabawnie i zgoła nie miała postawy wojskowej. Większość co prawda ubrana była w mundury straży obywatelskiej, ale byli też i tacy, którzy mieli na sobie kapoty, długie kontusze, kubraki i płaszcze. Wielu było mocno otyłych, a ich oddech przyśpieszony wskutek szybkiego biegu głośno dawał się słyszeć z szeregów.

Koło nich kręciła się gromada wyrostków, dzieci i kobiet, które, przestraszone alarmem, przybiegły aż tutaj za swymi mężami, braćmi lub synami. Rozlegały się płacze, narzekania, wymyślania na Prusaków, rozmowy, głośne pożegnania.

Obywatel Blum stał przed frontem straży i patrzył na to wszystko w milczeniu swymi małymi oczkami. Ale w końcu zgniewały go widocznie te rozmowy i płacze, bo krzyknął:

– Do stu paraluszów! cicho, stulić gęby! Co tu baby mają do roboty! Do domu, mociumdziu, do dzieci, do garnków! Mości Wieprzowski, weź mi aspan dwudziestu ludzi i rozpędź tę czeredę z kretesem!

Ale już nie trzeba było groźnej interwencji pana Wieprzowskiego, bo z szeregów rozległy się wołania i rozkazy:

– Maryś, Kasiu, Kundziu, ruszaj do domu! nie płacz, Anulku, idź do domu! zobaczymy się niezadługo itp.

Kobiety usunęły się na bok, ale nie poszły do domu, tylko skupione pod Bramą Krakowską przypatrywały się rycerskim popisom swych mężów i ojców.

Tymczasem obywatel Blum otarł twarz mocno spoconą, bo dzień był gorący i z wielką powagą przeszedł przed szeregiem swej setki. Obaczywszy kilku, a między nimi Tomka, bez broni, zawołał:

– Mości Wieprzowski, dać im karabiny i patrontasze z nabojami!

Z wielkiego wozu, który stał w tyle za szeregiem i na którym znajdowało się mnóstwo węzłków i fresek, obywatel Wieprzowski wydobył broń i naboje i rozdał je, komu należy.

Tomkowi aż się oczy zaświeciły, gdy ujrzał w swej garści rusznicę, wprawdzie nieco ciężką i zardzewiałą, ale obejrzawszy ją mówił sobie: – To nic, już ją wyczyszczę i będę pluł do Prusaków, że aż w niebie będzie słychać.

– No, Tomek! – szepnął Wiertelewicz – teraz jesteś uzbrojony i mam nadzieję, że spiszesz się dobrze. Uważasz, jak tylko staniemy...

Ale nie skończył, bo do obywatela Bluma przypadł pędem na koniu adiutant komendanta miasta, generała Orłowskiego i wołał:

– Obywatelu setniku! masz acpan natychmiast maszerować ze swą setką na okopy na Powązki. To ci rozkazuje generał Orłowski.

To rzekłszy, adiutant zawrócił i pędem ruszył w ulicę Senatorską.

Wśród kobiet przytulonych do Bramy Krakowskiej rozległ się głośny płacz i narzekania. Wiele z nich, nie zważając na poprzedni rozkaz Bluma, rzuciło się ku szeregom i poczęło obejmować i całować swych mężów i braci. Zrobił się nieład, szeregi się złamały, słowem – nieporządek straszny. Wielu spomiędzy improwizowanych żołnierzy wybiegło do swoich, żegnało się z dziećmi i żonami, rozżalało się i płakało, aż Wiertelewicz popłakał się ze śmiechu.

Na ten widok obywatel Blum uniósł się strasznym gniewem. Pomimo tuszy i potu, który mu twarz zalewał, skoczył naprzód krzycząc głośno:

– Do szeregu! precz, baby! a bodaj was, mociumdziu, siarczyste kule biły! to lepiej, mociumdziu, gęsi z przeproszeniem paść, jak takiemu wojsku dowodzić. Do szeregu! Czyż słyszycie? do... szeregu!

I biegając, o ile mu tusza jego pozwalała, siłą i pięścią zapędzał zbyt czułych małżonków i ojców do szeregu. Pomagali mu w tym dziesiątnicy, a zwłaszcza Wiertelewicz, który, zrazu śmiejąc się, wpadł także w gniew na widok tego nieładu.

Wszystko to jednak nie na wiele by się zdało, bo gdy jednego siłą wyrwano z objęć rodzinnych, to trzech wymykało się na bok, gdyby nie to, że nagle od strony Zamku, od ulicy Grodzkiej rozległa się muzyka grająca do marsza na nutę niedawno ułożonej pieśni: „Do broni, bracia, do broni”!

Dzień sławy dla nas przychodzi,

Podnieś oręż w dzielnej dłoni

Lepsza od ojców swych młodzi!

Zaraz też potem ukazał się jadący wierzchem na spasej kasztanowatej klaczy, widocznie od bryczki wyprzęgniętej, imci pan Krzysztof Heliglas. Był to obywatel z ulicy Rybaki, marszerujący na czele swej setki z cyrkułu leżącego nad Wisłą, a więc z ulic Brzozowej, Rybaków, Marjensztadu i innych. Pan Heliglas, mocno otyły, ogromny mężczyzna, wygolony starannie, ubrany był w zieloną na głowie konfederatkę aksamitną z piórkiem pawim, na sobie miał żupan ciemnogranatowy, u boku wisiała mu pochwa żelazna od szabli, którą obnażoną trzymał w garści i jechał z powagą i majestatem. Za nimi żwawo postępowała kapela, złożona

z samych Żydków w długich kapotach, która z wielką fantazją wygrywała na trąbach, bębnach i skrzypkach strofki owego marsza wzywającego do broni „lepszą od ojców swych młodzież”.

Z taką kapelą, której po obu stronach towarzyszyła ogromna gromada chłopaków i Żydziaków, maszerowała posuwistym krokiem, szóstkami, w żołnierskim ordynku i sforności setka Nadwiślaków. Była ona złożona przeważnie z młodych ludzi, samych rybaków i przewoźników, zahartowanych, zawiędłych na wietrze wiślanym, ogorzałych, krzepkich, zwawych i zręcznych. Krokiem miarowym, w takt muzyki maszerowali z karabinami na lewym ramieniu, tak głośno, aż ziemia dudniła pod nimi, a o stare mury zamkowe, o marmurową strunę Zygmuntofskiej kolumny uderzał ich śpiew stupierśny o „wodzu, tej Polski ozdobie”. Aż serce rosło patrzeć na tę setkę, taką dzielną, spójną, sforną, gotową ostrzem swych bagnatów utożwiać sobie drogę wszędzie.

Widok Nadwiślaków tak oddziaływał na straż staromiejską, że w jednej chwili wyrwała się z objęć żon, sióstr i matek i w porządku szeregować się poczęła. Setnik Blum, który aż ochrypnął od krzyku i gniewu, biegł szybko przed frontem mówiąc głośno:

– To wstyd, mociumdziu, to hańba nad hańbami, żeby obywatele osiadli taki przykład dawali! Żeby tu zaraz skiśniał, jeżeli ja wam to daruję!

To rzekłszy, gdy właśnie koło niego na swej opasłej klaczy przejeżdżał obywatel Heliglas i po wojskowemu szablą mu salutował, pan setnik ochryplym głosem zakomenderował:

– Trójkami od prawego, marsz!

Ruszono się na koniec, a choć kobiety towarzyszyły jeszcze setce przez ulicę Senatorską i Miodową, ale już porządek nie był naruszony. Tak posuwano się placem Krasińskich, ulicą Nowiniarską, Franciszkańską i Nalewkami ku Powązkom, w wielkiej ciszy, bo wszystkim wstyd było, że się tak brzydtko na samym początku spisali.

Na Nalewkach Wiertelewicz zbliżył się do Tomka i rzekł:

– No... już to my z naszą setką niewiele zbudujemy! Ja się dziwię, że nasz setnik tym tchórzom łykom w łby nie postrzela! Patrz, jak oni wyglądają! Pożal się Boże!

W rzeczy samej setka wcale nie miała postawy wojskowej. Większa część maszerowała z trudnością, spocona, zziębnięta, nie mogąca utrzymać jednostajności i taktu w ruchach.

– Jak my wyglądamy obok tych Nadwiślaków! – mówił dalej Wiertelewicz – ciężki wstyd doprawdy.

– Ha! cóż robić! – odpowiadał Tomek – zawsze znajdzie się kilkudziesięciu zuchów, którzy nie dadzą Niemcom sobie w kaszę dmuchać!

– Bóg by to dał! – odrzekł Wiertelewicz i po chwili szepnął:

– Jak przyjdziemy na okopy, powiem ci jeszcze coś bardzo ważnego. Trzymaj się mnie, powtarzam, sprawa to ważna.

Właśnie zbliżano się do okopów i w tej chwili z dala, po lewej ręce, jakby spod Woli lub Czystego, rozległ się przeciągły, donośny huk działa; po czym ucichło.

W piersiach staromiejskiej setki dech zamarł i zapanowało wśród niej głucho milczenie.

ROZDZIAŁ IV

Jako Tomek i Wiertelewicz popłakali się na widok Naczelnika.

Gdy przymaszerowano na miejsce, nadjechali oficerowie i ustawili setkę na okopach, które się ciągnęły wzdłuż Powązek, pięknej rezydencji książąt Czartoryskich.

Właśnie setka obywateli Bluma zajęła wysuniętą naprzód redutę, obejmującą szczątki wspaniałego niegdyś parku, dziś w części wyciętego i zniszczonego. W głębi jeszcze sterczały ściany i nieco dachu zwieszało się nad domkiem szwajcarskim, którego powybijane okna i drzwi wiszące na zawiasach mówiły o niszczącym wpływie wojny. Ale dla mających obozować tutaj reduta przedstawiała wiele wygod i jakie takie schronienie przed deszczem i slotą, gdyż w parku zostało jeszcze dość drzew, domek szwajcarski miał na sobie choć kawałek dachu, a pobliski stawek, zasilany źródłem nieopodał wytryskającym, dawał świeżą i czystą wodę.

Obywatel Blum szeregował tymczasem setkę swoją na prawym skrzydle reduty, poza armatami, których było osiem i przy których kręciło się paru starych kanonierów z wąsami jak wiechcie mając pod swoją komendą kilkunastu chłopaków miejskich. Ci, podćwiczeni już nieco, nad słuchując dalekiego huku dział, który to się wzmagał, to znowu ucichał, stali w milczeniu, wyprostowani jak struny, z lontami zapalonymi w rękach, z wiszorami, z puszkami kartaczy, zapatrzeni w swych komendantów-kanonierów i gotowi na każde ich skinienie.

Setka rybacka Heliglasa zajęła lewe skrzydło reduty i spuściwszy broń do nogi, stała cicha, wpatrzona w dal, w błyszczące pod słońce armaty, w wąsatych kanonierów, którzy co chwila wychodzili na wierzchołek wału i, przykładając ręce do oczu od blasku, zdawali się szukać groźnymi oczami nieprzyjaciela.

Dzień był prześliczny, lipcowy, nieco gorący, choć od czasu do czasu chłodzony powiewem wiatru południowo-zachodniego; ten zaś, przynosząc ów przerywany huk dział, przynosił zarazem zapach lip kwitnących, których długa aleja ciągnęła się po lewej stronie reduty; zresztą pełno ich było w samej reducie, w parku niegdyś książąt Czartoryskich. Zapachem tym zwabione pszczoły gromadami skądś się zbiegały i słychać było ich szmer senny, jednostajny, dziwny kontrast swą pokojową gospodarską czynnością stanowiący z burzliwym obrazem wojny i zniszczenia, jaki reduta i te uzbrojone szeregi obywateli przedstawiały.

A poza redutą, pod złocistymi blaskami lipcowego słońca roztaczała się wielka, cicha, falująca kłosami dojrzewającego zboża płaszczyna. W dali widać było dachy wsi Wawrzyszewa, wiatraki młynarzy w Górcach, których skrzydła, poruszone wolno, zdawały się mówić o skrętnej, pokojowej pracy. Na tej wielkiej płaszczynie poprzecinanej sadami śliw i wiśni, drogami ocienionymi lipami i rosochatą wierzwą nie było nigdzie widać żywej duszy. Drzeżała ona w sennej ciszy południa lipcowego, cała złota od słońca, błękitna od nieba błękitnego.

Ale gdzieś w dali, na lewo od reduty, od czasu do czasu spoza morza rozkołysanego żyta, spoza drzew sadów i szczytów wiatraków wybuchały kłęby czarnego dymu i rozlegał się przeciągły huk dział. Strzelano gdzieś za Wolą, może za Czystem, a starzy kanonierzy wpatrywali się w te wybuchy dymu i mruzczyli pod nosem:

– Ki diabli? do kogo strzelają?

Nikt im na to nie odpowiadał, bo nikt nic nie wiedział i znowu na chwilę senna cisza, pełna szmeru falującego zboża i brzęku pszczoł, zapadała nad redutą, przerywana tylko szeptem modlitwy wśród szeregów setki staromiejskiej lub słowami:

„Na lwa srogię bez obrazy siędziesz

I na ogromnym smoku jeździć będiesz”,

które wymawiał opasły, gruby i ciężki obywatel Dufour, drukarz ze Starego Miasta.

Obywatel Blum stojąc przed frontem swej setki, oparty na wielkiej szabli, palony promieniami lipcowego słońca, spoglądał z ukosa na Dufoura, ruszał gniewnie ramionami, ale milczał.

Nagle w alei lipowej prowadzącej od Woli ku reducie wzbily się w górę chmury kurzu i rozległ się tętent galopujących koni; jeden ze starych kanonierów, ubrany w mocno zszarzały mundur artylerii koronnej, stojący na najwyższym szańcu reduty, zwrócił się żwawo w kierunku alei, przyłożył dłoń do oczu dla osłonięcia ich od blasków słońca i zbiegając szybko na dół krzyknął głosem rozkazującym:

– Baczość! chłopcy do dział!

A gdy posługa armatnia żwawo ustawiła się według porządku przy działach, dodał półgłosem:

– Naczelnik jedzie!

Na te słowa setka Nadwiślaków, dotąd niedbale wsparta na swych karabinach, nerwowo się poruszyła, twarze się rozjaśniły, postawy wyprostowały, a pan Heliglas komenderował głosem grubym i krzykliwym:

– Baczość! oczy w prawo! broń do nogi!

Pan Blum także się porwał i przebiegając z gołą szablą w garści swe szeregi, gadał ochrypłym głosem:

– Formuj się, oczy w lewo! głowy do góry, mociumdziu! Obywatelu Dufour, przestańże do stu par siarczystych mamrotać pacierze.

A już pan Heliglas rozkazywał:

– Na ramię broń!

Brzęknęły sfornym ruchem Nadwiślaków karabiny rzucone na ramię, a w ich czystych jak łąza bagnietach słońce zapalało migotliwe i oślepiające blaski.

Tętent coraz bardziej się zbliżał, wiatr wpychał w redutę chmurę kurzu i przy jej wylocie od strony miasta, wśród zielonych, woniejących lip pełnych brzęku pszczoł nagle ukazał się naczelnik Tadeusz Kościuszko.

Tak, to on jechał na roslym kasztanowatym koniu, ubrany w białą sukmanę krakowską, w wielką kamizelę pod spodem, przepasaną szarfą trójbarwistą, u której na złocistych rapciach zwieszała się krzywa szabla turecka. Na głowie spod białej magierki z zielonym piórkiem spadały mu w gęstych zwojach włosy czarne, a duże, łagodne, jasnoniebieskie oczy patrzyły w głąb reduty z pewną tęskną zadumą i niepokojem.

Za nim, na karym koniu, w mundurze kawalerii narodowej, granatowym z amarantowymi wyłogami, w srebrnych szlifach, z brzęczącą szablą u boku i czapce takiegoż koloru jak wyłogi, sadził w szczupakach księżę Józef Poniatowski, komendant szancków powązkowskich i marymonckich, młody, piękny i świetny w swym stroju, ale nieco chmurny i milczący.

Dalej w srebrzystym mundurze jeneralskim jechał komendant miasta generał Orłowski i zimnymi, stalowymi oczami spoglądał obojętnie dokoła.

Wreszcie za nimi pędziła cała gromada różnych oficerów i adiutantów, błyszcząca od srebrnych szlif, akselbantów, patrontaszy, mundurów, przeważnie granatowych z amarantowym lub białych z karmazynem. Na tych mundurach, szlifach, szarfach, czapkach czerwonych leżał jednak grubą warstwą kurz, którego całe chmury wiatr pędził z piaszczystej drogi na redutę i na pola falujące zbożem dojrzewającym.

Ledwie cała ta kawalkada jeźdźców, z jasną postacią Naczelnika na przedzie, ukazała się u wylotu reduty, rozległ się donośny głos pana Heliglasa:

– Baczość! batalion prezentuj broń!

W też tropy pan Blum rozkazywał także swym ochrypłym głosem:

– Baczość! batalion prezentuj broń!

Ale jeżeli Nadwiślaki sfornie i zręcznie wyrzucili przed piersi swoje karabiny i z jedno-brzmiącym brzękiem, to w szeregach staromiejskiej setki odbyło się to niezgrabnie, niejednolicie, a nawet któremuś ze staromiejskich rycerzy w drugim szeregu wypadł karabin z ręki na ziemię. Pan Blum zaczerwienił się cały, spojrział straszonym wzrokiem na niezgrabiasza i chciał coś rzec, ale już nie było czasu, bo Naczelnik nadjeżdżał, a stary sierżant-kanonier stojąc przy swych działach zerwał z głowy niedźwiedzią bermycę i krzyczał, co miał sił:

– Wiwat! niech żyje Naczelnik!

Ten okrzyk podchwyciła obsługa armatnia, podchwyciły szeregi Nadwiślaków i pod jasne niebo dnia letniego strzeliło wielkie, olbrzymie:

– Niech żyje!

A on jechał już stępa i patrzył swym smutnym, rozmarzonym wzrokiem na prostującą się na gwałt setkę staromiejską. Pan Blum podniósł do czoła szablę, spuścił ją na dół i wyprostowawszy się jak struna, o ile mu oczywiście tusza pozwalała, stał wpatrzony swymi maleńkimi, żwawymi oczkami w oczy wodza naczelnego.

– Jaki to batalion? – spytał na koniec Kościuszko.

– Staromiejski, obywatelu Naczelniku! – odrzekł pan Blum.

– Aha, staromiejski – powtórzył Kościuszko przypatrując się szeregom, po czym lekki, ledwie dostrzegalny uśmiech zawisł mu na ustach i dodał:

– Obywatelu kapitanie, każ broń do nogi spuścić.

– Słucham, obywatelu Naczelniku!

I gdy Kościuszko skrzył konia, kierując się ku bateriom dział, pan Blum komenderował:

– Batalion baczość! do nogi broń!

Poszło to również niezgrabnie, aż ks. Józef, który się temu przypatrywał, nachylając się z konia spytał półgłosem:

– Mości kapitanie, jak się nazywasz?

– Blum, Adam Blum, obywatel z Podwala, mości książę!

– A skądżeś, mości panie Blum dobrał taką setkę? a toć to czysta komedia!...

I śmiejąc się wyprostował się na koniu i odjechał za Kościuszką, który obejrzawszy z kolei działa, potem setkę Nadwiślaków właśnie wyjeżdżał stępa na środek reduty i dawszy znak, aby się uciszyło, głosem donośnym mówić począł:

– Obywatele! bardzom rad, że na pierwsze hasło niebezpieczeństwa, które zagraża waszemu miastu rodzinnemu wszyscy stawiliście się prędko i w porządku na okopach. Dziękuję wam za to. W tej chwili niebezpieczeństwa nie ma, ale Prusacy są już w Rakowcu i w Gorchach i niewątpliwie lada dzień do szturm przystąpią. Wszelako wobec gotowości, jaką obywatele miejscy okazują do obrony, tuszę sobie, że Warszawy Niemcom nie damy.

– Nie damy, tak nam Boże dopomóż! – zagrzmiało w szeregach Nadwiślaków, którzy potrząsając karabinami, podnosząc czapki w górę złamali szeregi i obstąpiwszy naczelnika całowali go po nogach i rękach krzyząc:

– Niech żyje Naczelnik! niech żyje Polska! nie damy się Niemcom! prowadź nas na zbójców Prusaków! wiwat Naczelnik! wiwat Polska!

A wśród tych głosów potężnych liczbą i uniesieniem najdonośniej brzmiał głos starego sierżanta-kanoniera, który stojąc na szczycie szanca, cały oblany blaskiem słońca, nie przestawał i potrząsać wielką niedźwiedzią bermycę i krzyczeć z całych sił swych starych piersi żołnierskich:

– Wiwat Naczelnik! wiwat Polska!

Wiertelewicz i Tomek stali niemi, milczący, a łzy im gęsto spływały z oczu na rozognione policzki.

ROZDZIAŁ V

W którym jest powiedziane, co Wiertelewicz zobaczył w nocy i dlaczego Tomka nazwał cebulą.

Wkrótce po odjeździe Naczelnika zapadł wieczór, a zaraz też nadeszły dwie kompanie piechoty regularnej pod wodzą majora Lipnickiego, który objął komendę nad wszystką załogą reauty. Był to stary żołnierz, wysoki, chudy i cienki jak tyczka, z wielkimi wąsiskami, Litwin zajadły o małych, ale niezmiernie bystrych oczkach.

Przy zapadającym zmroku dnia letniego obejrzał on starannie obie setki straży obywatelskiej powierzone jego komendzie i do pana Bluma rzekł, śpiewając z litewska:

– Wiesz co, braciszku, serdeńko, obywatelu kapitanie, ta twoja komenda to psu na budę z przeproszeniem się nie zdała. Ot, serce, wiesz, co ci powiem? Oto wszystkich brzuchaczy odeślij do domów, niech idą wylegiwać się pod pierzynami, a resztę zostaw! Więcej ona, jakem nowogrodzianin, zrobi, niż cała twoja komenda. Ta to prosto za boki ze śmiechu się brać serdeńko, jakem nowogrodzianin!

Pan Blum usłuchał tej rady i zaraz odesłał do domów wszystkich Dufourów i nie Dufourów, ku wielkiemu ich zadowoleniu, tak że został tylko z czterdziestu sześciu zuchami, którym odwaga z oczu patrzała i na których można było liczyć. Między nimi oczywiście znalazł się i Wiertelewicz, i Tomek, i Wieprzowski, choć był gruby i tłusty, ale oświadczył, że on za nic do domu nie pójdzie.

– Jeszcze czego, żebym ja poszedł pod pierzynę! Niedoczekanie wasze! Obywatelu Blumie, kapitanie, pod moją komendą są prowianty i ja ich muszę strzec, a szelmów Prusaków pracę będę na pekeflajsz!

I został. Została także cała setka Nadwiślaków z panem Heliglasem na czele. Gdy noc zapadła, rozstawiono strażę dokoła szańca, w połowie regularnych żołnierzy, w połowie ze straży obywatelskiej, a reszta rozłożyła się biwakiem we wnętrzu reauty, przeważnie wśród na pół wyciętego parku książęcego i nad stawkiem, z którego wodę czerpano. Major Lipnicki z obu komendantami straży obywatelskiej, panem Blumem i Heliglasem, zajął ów na pół zrzucony szalet szwajcarski, który, strzechą kryty, widniał wśród parku.

Noc zapadła cicha, bezksiężycowa, ale błyszcząca tysiącem gwiazd. Wiatr ustał, daleki huk dział, z których strzelano do forpocztów pruskich, także zamilkł i na tej obszernej płaszczyźnie, w tych szańcach pełnych zbrojnych obrońców, zapanowało senne milczenie.

Wiertelewicz rozpalił przy pomocy Tomka niewielkie ognisko tuż nad sadzawką i gdy się posilili podarowaną im przez pana Wieprzowskiego kiszka podgardlaną, a potem gorącą kaszą z kotła, którą uwarzyli żołnierze z regimentu liniowego, otulił się w płaszcz i kładąc się na ziemi szepnął do swego towarzysza:

– Uważaj Tomek. Jak ci dam znak, to pójdziemy tam na szaniec, mam ci coś rzec, a nie chcę, by nas kto usłyszał. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Więc uważaj! Ja pójdę pierwszy, a ty za mną.

Jakoż niedługo Wiertelewicz, otulony w swój długi, czarny płaszcz, wyglądając w nim wśród nocy jak widmo, powstał i posunął się naprzód. Za nim podążył Tomek. Wkrótce znaleźli się w rogu szańca, nie widziani przez nikogo, gdyż wartownicy z obu stron znajdowali się dość daleko. Wiertelewicz, nie chcąc, by kto sądził, że się ukrywa, a pragnąc jedynie, by jego rozmowy z Tomkiem nikt nie słyszał, wszedł na szczyt szańca i tu usiadł twarzą do szerokich pól okrytych cieniami nocy.

– Siadaj! – rzekł do Tomka – i pogadajmy. Tu nam nikt nie przeszkodzi, a nade wszystko nikt nas nie podsłucha.

– Cóż to takiego? o co idzie? – spytał Tomek siadając, mocno zaintrygowany tajemniczym postępowaniem Wiertelewicza.

Ale Wiertelewicz nie odpowiadał, tylko siedział w milczeniu, wpatrzony w rozścielającą się przed nim płaszczynę, w dalekie ognie obozowisk pruskich od strony Górc i Szcześliwic, których łuna krwawo odbijała na cieniach nocy. Na zachodzie, na skraju horyzontu białął jasny pas nieba i na tym tle rysowała się wyraziście sylwetka żołnierza na placówce, widać było jego giwer i karabin na ramieniu.

– Tomek! – rzekł nagle Wiertelewicz – czy ty masz dobre oczy?

– Czy ja wiem, zdaje mi się, że tak.

– Patrz no tam ot... gdzie ci palcem wskazuję.

– Patrzę.

– Nic nie widzisz?

– Nic.

– Jak to, tam za placówką, nie widzisz dachu jakiegoś, jak wystaje ze zboża?

– Widzę coś, ale czy to dach, nie wiem.

– No! toś cebula i basta.

Tomek nic nie odrzekł na to przezwisko, które przyjął z pokorą, bo dla Wiertelewicza czuł pewien szacunek, uznając jego wyższość umysłową nad sobą. Wyteżył jednak wzrok, ale pomimo usiłowań nic dojrzeć nie mógł prócz czarnej plamy. Mógł to być dach, mogły być drzewa, wreszcie jakiś cień nocny.

– Nie, nic nie widzę! – mruknął.

– Mówię ci, żeś gamoń i kwita.

Zapanowało chwilowe milczenie, po czym Wiertelewicz rzekł:

– Powiedziałem ci, że dobrze się stało, że nas wysłali na Powązki, bo prawie pewny jestem, że ten szelma Wolf tędy przekrada się do obozu Prusaków.

– A może!

– Nie może, tylko tak, skoro tak mówię, a mówię dlatego, że tak jest. Bo którądy by on chodził? Zważ jeno. Przez Wolę nie może się przemykać, bo tam od dawna strażę są gęste i pies nie przejdzie, żeby go nie zauważono. Przez rogatki Jerozolimskie i Mokotów nie, bo to za daleko i musiałby okrążyć, a to zawsze nie jest bezpieczne. Więc najprostsza i najkrótsza droga jest przez Powązki; zresztą wczoraj tędy jakiś Żydek się przekradał.

Nagle urwał i podnosząc się zawołał:

– Ale co ty gadasz, ślepy chyba jesteś, toć to najoczywiściej jest dach i tam znajduje się jakiś dom, sam jeden, a dokoła pustkowie. Czy słyszysz naszczekiwanie psa?

– To słyszę, ale dachu żadnego nie widzę.

– Bo, powtarzam ci, jesteś gamoń i cebula.

I nachyliwszy się pilnie wpatrywał się w ową plamę czarną i nadśluchiwał. W rzeczy samej, wśród ciszy nocnej wyraźnie słyhać było dalekie szczekanie psa.

– To jakiś bardzo podejrany dom! – mruknął wreszcie raczej do siebie niż do Tomka.

– O co idzie? – rzekł ten ostatni. – Za dnia przekonamy się, czy to dom, czy nie. Jeżeli bowiem w nocy widzisz dach, to w dzień zobaczysz go lepiej.

– Powiedział, co wiedział! To ci dopiero! zapominasz cebulo, jakaś, że do jutra czekać może być za późno.

Wtem nagle na szanцу od lewej strony zarysowała się jakaś ciemna sylwetka i rozległ się głos:

– Wiertelewicz, czy to ty?

– Ja! Kto mnie woła?

– A Tomek Landikier jest z tobą?

– Jest. Ale kto to...

W tej chwili wołający zbliżył się i obaj chłopcy poznali w nim księdza franciszkanina Karolewicza. Stał w swej kipiącej konfederatce na głowie, szczelnie otulony w płaszcz, bo noc poczęła się robić chłodna.

– Jak się macie chłopcy! – zawołał ksiądz wesóło – co tu robicie, u parasusza? Szukam was od kwadransa i żeby nie obywatel Wieprzowski, który mi powiedział, żeście poszli na szaniec, mógłbym was szukać do rana. Jak się masz Tomek? Cóż, rad jesteś, że należysz do straży?

– Pewnie, zem rad! – odparł chłopak, całując księdza w rękaw habitu.

– Przynoszę ci od obywatela Gugenmusa półzłotka, od babki łokieć kielbasy i bułkę chleba, a od siebie rozek prochu, żebyś miał czym strzelać do Szwabów. Ale co wy tu robicie? Czemu nie śpicie, trzeba odpocząć, bo jutro będziecie mieli niemało roboty z Niemcami.

Wiertelewicz, który dotąd milczał i nad czymś rozmyślał, nagle rzekł:

– To dobrze, że ksiądz do nas przyszedł. Jest tu jedna rzecz wielkiej wagi i chciałbym się poradzić, bo sam nie wiem, co robić.

– No? cóż to takiego? gadaj, jeno prędko, bo przed świtem muszę być jeszcze na Woli.

Wiertelewicz się obejrzał bacznie dokoła i rzekł:

– Niech ksiądz dobrodziej siada i posłucha.

Ksiądz usiadł, a Wiertelewicz opowiedział mu szczegółowo wszystkie swe podejrzenia co do Żyda Wolfa Heymana, swe kombinacje, że szpieg tylko przez Powązki może się przemykać do obozu nieprzyjacielskiego i swoje zamiary schwytania tego szpiega.

– Hm! hm! – rzekł ksiądz wysłuchawszy tego wszystkiego – może ty masz rację mój chłopcze, a może ci się to tylko zdaje. Znam ja tego Wolfa, mieszka niedaleko od naszego klasztoru na Konwiktorskiej, bywa nawet u ojca gwardiana – bogaty Żyd. Hm! hm! szkoda, żeś wczoraj nie schwytał tego Żydka, co się zbożem przemykał, bo jeżeli oni szpiegują, to już tędy więcej chodzić nie będą po wczorajszym wypadku. Gadałeś ty komu o całej tej sprawie?

– Nikomu, prócz Tomka, którego postanowiłem sobie wziąć do pomocy. Chciałem też poradzić się obywatela Gugenmusa, ale nie było na to czasu. Tak nagle nas zaalarmowali...

– To dobrze, żeś nikomu nie gadał, a zwłaszcza Gugenmusowi. Obywatel Gugenmus jest zacny człowiek, gorący patriota, ale gadatywus wielki i sekretu nie utrzyma, a widzisz mój chłopcze, w takich sprawach jak ta utrzymanie sekretu jest połową powodzenia. Hm! hm! trzeba się do tego brać bardzo ostrożnie, bo nuż to wszystko jest tylko dziełem twej imaginacji, mój chłopcze. Nie można przecież takiego bogatego Żyda i jak dotąd bardzo porządnego kupca oskarżać bez dowodów o szpiegostwo! Trzeba mieć koniecznie dowody.

W tej chwili zerwał się lekki wiatr, gdyż było już dobrze po północy i przyniósł wyraźne głośnie i żałośliwe naszczekiwanie psa. Wiertelewicz zwrócił uwagę księdza na ów mniemany dach samotny, który on dotąd widział i wyraził przy tym przypuszczenie, że taki dom odosob-

niony, między szańcami a obozem Prusaków, może wybornie służyć za miejsce schadzki dla szpiegów.

Ksiądz popatrzał i rzekł:

– Co prawda, szczekanie psa słyszę, ale nic nie widzę. Oczy mam trochę spracowane nad księgami. Wszelako należy się przekonać i to zaraz. Nie pójde ja już na Wolę, jeno z wami do tego domu samotnego. Weźcie broń, opatrzcie ją dobrze, a ja skoczę do majora Lipnickiego, by nam dał przez placówki przepustkę. Ruszajcie po broń i czekajcie mię przy wyjściu z reduty.

To rzekłszy zakasał płaszcz i habitu, w kilku skokach zbiegł z szanca i znikł w cieniu lip parku niegdyś książęcego. Obaj chłopcy, uradowani tajemniczą wyprawą, żwawo pobiegli po swe karabiny.

ROZDZIAŁ VI

Jako ks. Karolewicz i dwaj chłopcy szukając szpiega spotkali się z widmem.

Wiertelewicz i Tomek dość długo czekali przy bramie reduty, nim franciszkanin się zjawił. Szedł żwawo, a spod płaszcz widać mu było dwa pistolety zatknięte za pas i szablę przy boku.

– Przepustkę mam – rzekł zbliżając się do obu chłopaków – ale major, pocziwie Litwini-sko, zaleca nam wielką ostrożność i powiada, że odpowiedzialność za to, co zamierzamy zrobić, na nas wyłącznie spada. On umywa od wszystkiego ręce jak Piłat i o niczym wiedzieć nie chce.

Zaśmiał się ksiądz i zapytał, oglądając bacznie swych młodych towarzyszy:

– Cóż, gotowi jesteście?

– Gotowi.

– Broń nabita?

– Nabita.

– Więc ruszajmy w imię boże, a śpieszmy się, bo świtać zaczyna.

W rzeczy samej na wschodzie niebo bielalo już i na tle wczesnego świtu rysowały się czarne sylwetki wież i dachów Warszawy. Chłód poranny wzmagął się, wiatr lekki i zimny się zerwał i przenikał do kości tak, że Tomek w swym skromnym kabaciku, może trochę ze wzruszenia, dygotał całym ciałem. Właśnie wyszli za bramę reduty i ksiądz, obrzucając wzrokiem Tomka, rzekł:

– Tylko nie tchórzyc, a nade wszystko słuchać mię ślepo. Czuj duch i uszy do góry!

– Ja wcale nie tchórzę – odpowiedział Tomek nieco urażony – tylko mi zimno.

– Zaraz ci tu będzie gorąco!

Wiertelewicz milczał i szedł wielkimi krokami, chudy jak żuraw sterczący nad zbożem, zapatrzony w dal. Szli miedzą, minęli wkrótce placówkę, której musieli pokazać daną im przez majora przepustkę i znaleźli się wkrótce samotni, wśród falujących za wiatrem łąnów żyta. Tak postępując, dostali się niebawem do niewielkiej wąskiej drożyny wijącej się wśród zboża i po obu stronach tu i ówdzie ograniczonej krzakami wikliny i głogu. Gdy drożyną tą

szli kilka kroków, ksiądz nagle się zatrzymał i zwracając się do Wiertelewicza rzekł głosem przyciszonym:

– Jacuś, mój chłopce, masz dobry wzrok, nachyl się i zobacz, czy na piasku tej drogi nie ma świeżych śladów nóg ludzkich. Od dwóch dni przecież nikt tędy nie mógł chodzić pod działami szańca, jeżeli więc będą ślady, to oczywiście jeno szpiegowie.

Wiertelewicz w milczeniu nachylił swą chudą i cienką postać i badał pilnie drogę przy bladym blasku świtu: postąpiwszy kilka kroków nagle się zatrzymał, przypatrując się długo, znów naprzód, przekroczył drogę parokrotnie w poprzek, wreszcie wrócił do oczekujących na niego w milczeniu księdza i Tomka i szepnął:

– Ślady są, i to świeże. Ani chybi, ktoś nocą tą drogą szedł.

– Pewny jesteś tego?

– Ojoj i jak jeszcze! Zresztą można zobaczyć. Ślady są wyraźne.

Tomek jednak, choć mu Wiertelewicz palcem wskazywał odciski stóp ludzkich w dużych, niezgrabnych i podkutych butach, swoim zwyczajem mówił:

– Nic nie widzę!

Na co mu Wiertelewicz z gniewem odpowiadał:

– Boś cap i cebula!

– Jak jest, to jest – rzekł ksiądz – idźmy dalej, nie tracąc czasu, bo świt bliski.

Ruszono więc znowu naprzód z wielką cichością i roztropnością ową drożyną piaszczystą, wijącą się wśród łąnów dojrzałego zboża. Wiatr, jak zwykle przed wschodem słońca, wzmacniał się, niebo bardziej bieleło, a po krzakach tu i ówdzie wróble świergotać poczęły. Nagle doszło ich wyraźne, niezbyt dalekie szczekanie, a raczej żałośliwe wycie psa, to samo, które w nocy słyszeli na szczycie szańca. Ksiądz zatrzymał się i dając znak ręką obu chłopcom, by się doń zbliżyli, szepnął:

– Widocznie jesteśmy niedaleko jakiegoś mieszkania ludzkiego. Szczęście, że idziemy pod wiatr i pies nas nie poczuje. Wszelako należy zachować się cicho. Ty, Jacuś, że masz oczy najlepsze, pójdziesz przodem, ja za tobą, a Tomek na końcu. Pomaszujemy gęsiego. Uszy dobrze wyteżyć i patrzeć bacznie na wszystkie strony!

Wiertelewicz nic nie odrzekł, tylko ruszył naprzód swymi wielkimi krokami żurawia. Widać było jego chudą, cienką figurę na tle białych chmurkach pędzonych przez wiatr po niebie. Tak szli ze dwa pacierze, gdy nagle Wiertelewicz się zatrzymał. Ksiądz i Tomek zbliżyli się do niego, a on im wskazał w milczeniu palcem przed siebie i szepnął:

– Światło!

Znajdowano się przed niewielkim parowem, wyżłobionym zapewne niegdyś przez wody rzeki Drny, która stąd nieopodal płynęła w wąskim, ale głębokim korycie i pod Nowym Miastem wpadała do Wisły. Na dnie parowu błyszczał srebrzystym blaskiem od srebrzystego nieba niewielki stawek gęsto dokoła obrośnięty wierzbami i olszyną. Cały parów zresztą był zarośnięty drzewami i krzakami, które w niewyjaśnionych jeszcze niczym tutaj, we wgłębieniu, ciemnościach nocy tworzyły jedną czarną masę. Tylko wierzchołki ich, miotane wiatrem porannym, chwiały się na bladym niebie jak widma. Z pośrodku tych zarośli rozległo się coraz zwawsze i coraz liczniejsze świergotanie ptactwa, a pies wył ciągle i ciągle coraz żałośliwiej.

Ale co najważniejsza, co zarazem świadczyło o dobrym wzroku Wiertelewicza, że z pośrodku tych drzew, tuż nad stawem sterczał spiczasty dach jakiegoś domu, którego nie było widać, bo zakrywały go zupełnie drzewa i krzaki. Spomiędzy tych krzaków, przez jakiś otwór niezastłony przez liście błyszczał pas czerwonego światła tworzącego dziwny i jaskrawy kontrast z czarną ciemnością parowu i bielejącym coraz więcej niebem i płaszczyzną okólną. Światło to chwilami gasło, jakby je ktoś zasłaniał, co świadczyło, że w domu są jakieś istoty żyjące i jakiś ruch się odbywa. Zresztą panowała tu martwa cisza, pełna tylko świergotu ptactwa, wycia psa i szmeru liści przez wiatr poruszonych.

Ksiądz i dwaj chłopcy stali w milczeniu, przypatrując się owemu czarnemu parowowi i owemu czerwonemu i migotliwemu światłu, nie wiedząc na razie, co począć. Przed nimi piaszczysta droga nagle spuszczała się w parów i ginęła w gęstych zaroślach, widocznie prowadząc do owego tajemniczego domu. Posępne cienie, pokrywające sobą wszystko w parowie, zdawały się kryć w sobie tysiące zasadzek.

Ksiądz obejrzał się dokoła. Za nim, w oddaleniu dobrej mili, na różowiejącym już niebie od wschodu rysowały się czarnymi konturami wieże Warszawy i jej zębata sylwetka; bliżej niego, ale także w oddaleniu na jakie ćwierć mili, sterczał szaniec powązkowski ze swymi ostro zakończonymi wałami, widać było aleję lipową od niego do Woli idącą, a zresztą cała płaszczyzna falowała zbożem, które szumiało jak wielkie wody. Na lewo, o kilkanaście kroków od drogi, na małym wzgórzu, widocznie umyślnie usypanym, biała murowana, wysoka figura z Bożą Męką na wierzchu, otoczona paru starymi rozrosłymi drzewami. Gdzieś daleko poza Wolą i Szczęśliwicami czerwieniły krwawą łuną, przygasającą już teraz, ogniska obozowisk pruskich. Zimno było przenikliwe.

Obejrawszy to wszystko jednym rzutem oka, ksiądz szepnął:

– Nie ma co, trzeba podkraść się pod ów dom i zobaczyć, co się tam dzieje. Przyszliśmy tu po to. Ale idziemy teraz razem i miejmy się w tych krzakach na wielkiej ostrożności.

– Pies nas poczuje! – szepnął Tomek.

– To i cóż? Widocznie jest uwiązany, skoro tak wyje, a choć zacznie ujadać, to nic nie znaczy, bo ujada noc całą – odparł Wiertelewicz zdejmując z ramion karabin i podsypując świeżego prochu na panewkę.

– Idźmy za przykładem Jacusia – rzekł ksiądz – i opatrzmy naszą broń.

Gdy tego dokonano, ksiądz się przeżegnał i szepnął:

– A teraz w imię boże, naprzód!

Ale nie zdołano jeszcze pięciu kroków zrobić, gdy Tomek, idący po prawej stronie księdza, nagle się zatrzymał i zawołał stłumionym, drżącym ze straszliwej trwogi głosem:

– Jezus, Maria, Józefie święty, a to co?

Wszyscy się zatrzymali jak wryci i włosy im na głowie z przerażenia powstały.

Spoza owej figury z Bożą Męką podnosiła się powoli jakaś biała postać w powiewne szaty przybrana i rosła, rosła ciągle, poruszając olbrzymimi niby skrzydła wiatraka rękami. Wiatr rozwiewał jej szaty białe, unosił niby chmury jakież; w końcu dosięgnęła takiej wielkości, że przewyższyła nie tylko figurę murowaną, ale i ogromne drzewa ją okalające. Nie widać było ani twarzy, ani głowy, nic; wszystko rozplýwało się w jakichś mglistych, niepewnych kształtach.

Ksiądz, Wiertelewicz i Tomek skamienieli i stali tak, nie śmiejąc się ruszyć, wpatrzeni w okropne widmo, które powoli, leniwie, z chrzęstem jakimś głuchym posuwać się ku nim zaczęło. Słysząc było, jak zboże szeleściło i łamało się z trzaskiem pod stopami tego olbrzyma, człowieka czy mary.

Pierwszy ksiądz Karolewicz się opamiętał i głosem dygoczącym od silnego wzruszenia zawołał głośno:

– W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, wszelki duch Pana Boga chwali!

Ale owa biała mara nic na to nie odrzekła, tylko posuwała się ciągle naprzód z owym głuchym chrzęstem, jak gdyby łamały się i trzaskały kości szkieletu, nie człowieka żyjącego. Szła, wymachując wciąż olbrzymimi rękami, u których wielkie białe rękawy miotane wiatrem, przy niepewnym blasku świtu porannego wyglądały jak skrzydła jakiegoś potwora przedpotopowego, jak chmury szare, rozplýwające się co chwila.

Wtedy Wiertelewicz osadził się dobrze na nogach i przykładając karabin do oka, zawołał donośnie swym ciekim, piskliwym głosem:

– Kto jesteś? stój, bo strzelę!

Lecz widmo i na to wezwanie groźne zachowało poprzednie milczenie i nie przestawało posuwać się naprzód. Już wydobyło się ze zboża i stało w odległości kilku zaledwie kroków od trzech zuchów, umieściwszy się tak, że zastąpiło im drogę do parowu. Ów złowrogi chrzęst suchych kości szkieletu wciąż rozlegał się w ciszy porannej.

Wtedy Wiertelewicz, nie namyślając się wiele, nie będąc już panem siebie, zapominając, że strzał zdradzi ich obecność i niemałej może narobić trwogi w obu obozach, nacisnął cyngiel i wypalił. Huk strzału, porwany przez wiatr, rozległ się bardzo szeroko i daleko, a w tejże chwili Wiertelewicz uczuł, jak coś ciężkiego spadło mu na rękę, w której trzymał karabin, tak że z dokuczliwego bólu upuścił go na ziemię. Spojrzał i na straszne swe przerażenie dostrzegł olbrzymie widmo tuż nad sobą. Wtedy przejęty paniczną trwogą rzucił się do ucieczki, za nim to samo uczynili ksiądz Karolewicz i Tomek. Pędzili co sił mieli ową piaszczystą drożyną, nie oglądając się za siebie, pewni, że biała mara ich ściga, że słyszą ciągle ów złowrogi chrzęst kościotrupa.

Opamiętali się dopiero, gdy ujrzeli naprzeciw siebie podjazd złożony z kilkunastu koni kawalerii narodowej, wysłany z okopów na huk strzału Wiertelewicza. Zatrzymali się i dysząc ciężko obejrzeni się za siebie. Nikt ich nie gonił, droga była pusta; na płaszczyźnie zboże po dawnemu falowało, a tajemniczego parowu z domem i światłem krwawym, z białą marą i figurą kamienną najbystrzejsze oko stąd dojrzeć nie mogło.

ROZDZIAŁ VII

W którym Wiertelewicz dowodzi Tomkowi, że strachów żadnych nie ma na świecie.

Z bardzo rzadkimi minami wracali obaj chłopcy i ksiądz Karolewicz. Podjazd wysłany na huk strzału Wiertelewicza przyaresztował ich wszystkich trzech i zaprowadził do szańca głównego, w którym była kwatery księcia Józefa Poniatowskiego. Ale że zaraz po owym niefortunnym strzale Wiertelewicza zrobił się alarm w obu obozach, że z obu stron powysyłano patrole, które spotykając się ze sobą toczyły nieustanne utarczki i powoli na całej linii zagrzmiały działa, więc ks. Józef nie miał czasu zająć się więźniami; dosiadł konia i popędził wzdłuż okopów, by wszędzie przygotować obronę, bo powszechnie w tym dniu spodziewano się szturm Prusaków.

Siedzieli więc wszyscy trzej na odwachu w szańcu marymonckim, w starej, na wpół zwalonej chałupie i rozmyślali o swej nocnej imprezie. Oficer dowodzący strażą na odwachu począł ich wypytywać o szczegóły, a gdy mu opowiedzieli wszystko i o owej białej marze, roześmiał się głośno i rzekł:

– Nie bredźcie, nie bredźcie! Dla kurażu za dużo wypiliście gorzałki i troi wam się po głowach. Ot, co jest! A teraz pokutować musicie i kto wie, jaki będzie koniec. Wojna jest, a za potrwożenie wojska krygsrecht i kula. Postrzelają wam we łby jak amen w pacierzu.

Wiadomość ta nie na żarty przeraziła Wiertelewicza i Tomka, który smucić się zaczął, że nie zabiwszy ani jednego nawet Niemca marnie zginie. Ale ks. Karolewicz dodał im otuchy mówiąc, że zna się osobiście z księciem Józefem i że całą sprawę załagodzi.

Jakoż koło południa, gdy strzelanina powoli ustawać poczęła, książe Józef zjawił się i wysłuchawszy księdza Karolewicza uśmieł się szczerze z owego widma i ucieczki trzech bohaterów, w której franciszkanin zgubił nawet konfederatkę, a zapowiedziawszy im, by nie ważyli się więcej alarmować wojska, kazał ich wypuścić na wolność.

Na uwagę franciszkanina, że bądź co bądź należałoby wysłać podjazd dla przetrząśnięcia i zbadania owego tajemniczego domu w parowie, jeden z obecnych starszych oficerów odrzekł, że całą tę okolicę zna jak własną kieszeń, że zdeptał ją własnymi nogami przed nadejściem Prusaków we wszystkich kierunkach, ale o żadnym domu tajemniczym nic nie wie. Jest wprawdzie o dobre pół mili od Powązek niewielka kałuża, utworzona przez rzeczkę Drnę, obrośnięta dokoła drzewami, ale domu tam żadnego nie ma; że wszystko to zatem, co ksiądz opowiada, jest wytworem imaginacji, podnieconej zapewne trunkiem. Że wreszcie wysyłanie o pół mili od szańców podjazdu w dzień biały i po niedawnych utarczkach, gdy się nieprzyjacieli ma na baczności, jest to tylko narażać ludzi na śmierć lub niewolę.

Książe Józef uznał słuszość tych twierdzeń i zakonnika odprawił z niczym.

Wrócił więc ksiądz z dwoma swymi towarzyszami strasznie zgryziony i markotny do szańca powązkowskiego, gdzie już wiadano o wszystkim i nielitościwie zaczęto szydzić z owej wyprawy nocnej, z widma i ucieczki trzech bohaterów.

Pan Blum, rozgniewany, że dwaj chłopcy bez jego wiedzy wyruszyli z szańca oraz że Wiertelewicz zgubił karabin, chciał ich obu obić surowo bizunami; ledwie na wstawiennictwo księdza uwolnił ich od tego, ale za karę kazał obydwom do wieczora kopać rów koło szańca.

Kopali więc, pracując ciężko pod palącymi promieniami słońca, znużeni mocno nocną wyprawą i bezsennością. Ale nie było rady. Przykro im było tylko, że ksiądz, ocaliwszy ich od bagnatów, zakręcił się po szańcu i zniknął. Wieczorem, gdy ich uwolniono od kopania, nakarmiono i pozwolono położyć się wśród dawnego parku na słomie obficie tu zasłanej, Wiertelewicz podsunął się do Tomka i rzekł:

– I cóż ty, Tomku, na to wszystko? Czy wierzysz temu, żeśmy mary nie widzieli, że nas nie goniła i że tam w parowie nie ma żadnego domu?

– Oczywiście, że wierzę, bom przecie własnymi oczami na to patrzył, ale co to było, nie rozumiem. Tu żołnierze gadali, że tam był za dawnych lat cmentarz, więc może mary chodzą po nim. Czy ja wiem? A to wszyscy inni powiadają, żeśmy byli pijani. Przecież ani kropli gorzałki żaden z nas nie miał w ustach!

– Ja tam w żadne mary ani też duchy nie wierzę – odparł Wiertelewicz. – To był człowiek. Ręka dotąd boli tak, że nawet źle kopał, tak mię ten łotr palnął kijem. Ojoj! Głównie żal mi karabinu, bo strzelał doskonale. Ale ja mu za to odpłacę!

– Komu?

– A temu hultajowi, szpiegowi, co się przebrał za stracha.

– A to jakim sposobem?

Wiertelewicz nie zaraz odpowiedział, ale przysunąwszy się do Tomka, począł mu szeptać:

– Widzisz, Tomku, wszystko, co ten oficer u księcia gadał, wszystko jest łgarstwem. On tak zna okolicę, jak ja Paryż. Tam jest dom. Ja dziś umyślnie skoczyłem na szaniec i za dnia wyraźnie widziałem dach między drzewami. Tego nikt mi nie wybije z głowy, że tam szpiegi nocami konszachty mają. A choć jest surowy zakaz, by tam nie chodzić, ja jednak pójdę.

– Bój się Boga, Jacuś, to cię zastrzelą, jak się dowiedzą.

– Najprzód dowiedzą się o tym, jak im szpiega związanego przyprowadzę, a potem ważniejszy jest los kraju, niż wszystkie ich zakazy. Mam nadzieję, że i ty Tomek ze mną pójdziesz?

– Ha! skoro powiadasz, Jacuś, że to dla dobra kraju, to pójdę. Ale czy my we dwóch co poradzimy? Może by i ksiądz poszedł?

– Książdz zabrał się i wyniósł do Warszawy, gdzie go szukać będę? Zresztą powiadam ci, i we dwóch damy sobie radę. Ja się teraz inaczej, mądrzej wezmę do rzeczy. Karabinów ani też żadnej strzelby ze sobą nie weźmiemy, bo strzelać nie można, żeby znowu alarmu nie narobić jak dzisiaj.

– A więc w cóż się uzbroimy?

– W kosy i siekiery. Jak ci kosą palnę owego hultaja przebranego za marę, to i hałasu nie będzie i z pewnością szelma ani zipnie więcej. Skoro się owo widmo nam ukaże, ty, Tomek staniesz z jednej strony, ja z drugiej i jak się zbliży, weźmiemy go na kosy. Zobaczymy, co wtedy zrobi.

– A jeżeli to jest mara w rzeczy samej?

– Cebula jesteś! Żadnych mar na świecie nie ma.

Tak sobie gadali i ułożyli się, że następnej nocy wyruszą na tę nową wyprawę, po czym znużeni tyłu przygodami i pracą dnia poprzedniego zasnęli mocnym snem.

Nazajutrz zerwali się rano rześcy i weseli. Dzień przeszedł spokojnie, tylko koło południa, jak mówiono, podjazd polski wysłany ku Szczęśliwcom z szańca wolskiego stoczył krwawą, ale krótką utarczkę z kirasjerami pruskimi, których pokonał, zarąbał kilkunastu i kilku wziął żywcem do niewoli.

Wiertelewicz parokrotnie z Tomkiem wchodził na szczyt szańca, a Tomek przekonał się naocznie, że jego przyjaciel miał rację utrzymując, że tam w parowie jest dom. Widać było wyraźnie dach, wystający spoza drzew, a nawet przed wieczorem zdawało się Tomkowi, że z komina tego dachu unosi się cienką strugą dym; ale nie był pewny, ile że i Wiertelewicz twierdził, że to może kurz lub opar jaki, z pola pod wieczór wzbijający się w górę.

Wiertelewicz wystarał się o dwie kosy na sztorc do drzewca przybite oraz o dwa krótkie rzeźnicze toporki, oba dobrze wyostrzone. Postanowili oni z Tomkiem, że przed zapadnięciem nocy, nim bramę szańca zamkną, wykradną się z niego, ukryją się w życie i tam przeczekają, aż noc na dobre się zrobi i wszyscy w okopie pozasypią. Wiedzieli, gdzie są rozstawione placówki i pewni byli, że z łatwością między jedną a drugą niepostrzeżenie się przesuną.

Na godzinę może przed zachodem słońca zjawił się w szańcu ks. Karolewicz, ubrany jak zwykle w swój płaszcz kamlotowy, uzbrojony w pistolety i szablę, jeno zamiast kipijącej konfederatki na głowie miał wielki słomiany kapelusz. Pokręcił się po szańcu, pogadał z panem Blumem, z majorem Lipnickim, wreszcie zbliżył się do Wiertelewicza i Tomka.

– Jak się macie, chłopaki?! – zawołał wesoło. – Przynoszę wam dobrą nowinę. Otrzymałem dla was urlop od majora; pójdziecie ze mną na noc do Warszawy. Babka cię chce zobaczyć, Tomku!

Mówił to głośno, żeby wszyscy słyszeli, ale po chwili odprowadził na bok Wiertelewicza i Tomka i rzekł szeptem:

– Cóż? zrzekliście się już złapania szpiega? he?

– Ojoj! Ja się ta wcale nie zrzekłem – odparł Wiertelewicz – i Tomek także.

– Zuchy jesteście! liczyłem też na was obu jak na Zawiszę. Przekonałem się, Jacuś, że twoje podejrzenia są zupełnie uzasadnione. Oni tam w sztabie księcia Józefa tyle wiedzą, co moja tabaka w rożku. Ja nie traćłem w mieście czasu na próżno. Byłem na Konwiktorskiej u Wolfa w sklepie, przepytywałem się jego sąsiadów; wszyscy twierdzą, że Żyd ma jakieś podejrzane konszachty z nieznanymi ludźmi, że po nocach pisma jakieś odbiera. Już tam u niego wczoraj z rozkazu komendanta Orłowskiego zrobiono rewizję, ale Żyd mądry, kryje się dobrze i nic podejrzanego nie znaleziono. Nasadziłem paru zręcznych obywateli szewców, by mieli oko na niego i żeby, jak tylko w nocy zjawi się z pismem, posła capnęli. A tymczasem my tej nocy zrobimy wyprawę na ten dom tajemniczy, co go tam strzegą widma. Cóż – dobrze? Pójdziecie ze mną?

– Oczywiście, że pójdziemy!

– Doskonale. Macie urlopy, zaraz wyjdziemy z okopu. Namówiłem jeszcze jednego tęgiego chłopaka z setki pana Heliglasa, rybaka, którego znam dobrze; Franek Wiśniewski się nazywa. On tam już czeka na nas za szańcem. We czterech damy sobie radę choćby z całym legionem mar.

– Więc i ksiądz nie wierzy, że to była mara?

– Nie wierzę. Bóg czasem sprawia, że duchy ludziom się pojawiają, ale tu jest coś innego. Z pewnością jest to jakiś łotr przebrany. Wczoraj zjawił się nagle i przestraszył nas tak, żeśmy haniebnie uciekli, ale teraz nie ulękniemy się lada czego.

– Hm! – rzecze Tomek – zawsze to ta coś było. Kule go się nie imają, przecie Jacuś strzelał.

– Ale w pośpiechu chybił, ot cała rzecz.

– Ja myślę, że broni palnej brać nie należy – zauważył Wiertelewicz. – Myśmy się z Tomkiem ułożyli, że uzbroimy się w kosy i na kosy hultaja weźmiemy.

– Masz zupełną rację i ja tak samo myślałem i przygotowałem dla nas cztery kosy ukryte w życie – odrzekł ksiądz. – Na jedną myśl wpadliśmy. Trzeba wszystko zrobić cicho i zręcznie, bez krzyku i wrzawy. Wszelako ja pistolety ze sobą wezmę, by w ostateczności mieć choć dwa strzały.

Tak się ułożywszy, wkrótce ku zachodowi słońca wszyscy trzej wyszli z szańca. Szli drogą ku Warszawie póty, póki ich z okopu można było widzieć, ale zaraz potem skręcili w bok, na miedzę wśród żyta i tam spotkali oczekującego na nich Franka Wiśniewskiego.

ROZDZIAŁ VIII

W którym Tomek przekonał się, że żadnych strachów nie ma na świecie.

Franek Wiśniewski, rybak z powołania, był to tęgi, barczysty chłopak dwudziestoletni, któremu z oczu patrzyła wesołość, rzeźwość i odwaga. Drzemał sobie w życie, a koło niego leżały cztery kosy błyszczące, wyostrzone jak należy. Gdy się z nim połączono, ksiądz odezwał się w te słowa:

– Słuchajcie mię chłopcy i zważcie dobrze, co wam powiem. Wyprawa, którą przedsięwzięjemy, jest bardzo niebezpieczna i możemy ją życiem przypłacić. Albowiem zdarzyć się może, iż wpadniemy na Prusaków, a oni z pewnością delikatnie się z nami nie obejdą. Potem przestępujemy zakaz dowódców naszych, a to pachnie kulką. Trzeba więc rzecz zrobić cicho i sprawnie. Ja obejmuję dowództwo i wymagam z waszej strony ślepego posłuszeństwa. Czy mię rozumiecie?

– Rozumiemy!

– I będziecie posłuszni?

– Będziemy!

– To dobrze. A teraz spocnijmy sobie i czekajmy, aż noc zupełnie zapadnie. Franek, masz tam co jeść?

– Mam, jakże by było!

– Więc dawaj, bom głodny i oni także. Jak się dobrze posilimy, to łącniej nam przyjdzie wojować ze strachami i szpiegami.

Franek skoczył w żyto i wkrótce wyniósł stamtąd koszyk, w którym było parę bochenków chleba pytłowego, dwa serki z kminkiem, dobry kawał kiełbasy i trzy butelki piwa. Zabrano się żwawo do jedzenia, a tymczasem słońce zaszło i noc cicha, pełna nieuchwytnych szmerów, rechotania gdzieś na moczarach żab powoli zapadła nad tą szeroką, senną płaszczyzną.

Ksiądz jednak, który na wszystko uważał, rzekł wskazując na niebo.

– Coś się zachmurza, lękam się, czy nie będziemy mieli deszczu, a może i burzy. Ale to lepiej, choć zmokniemy, to za to nikt nas nie zobaczy.

W rzeczy samej krwawiące się od zachodu niebo pokryły czarne chmury i rosły nieustannie. W powietrzu leżała cisza martwa i noc robiła się parna i ciemna nadzwyczajnie. Wkrótce sprzed oczu czterech zebranych znikły kontury szańca powązkowskiego i na kilka kroków nic nie było widać. Z dała tylko gdzieś w głębi tej nocy biła purpurowa luna od ognisk obozowisk pruskich. Niebawem w tę martwą ciszę uderzył podmuch gorącego wiatru, całe niebo pokryło się chmurami i słychać było ponury, oddalony jeszcze bardzo, stłumiony odgłos grzmotów.

– Będziemy mieli burzę – rzekł ksiądz – ale, powtarzam, że to lepiej. Pan Jezus wie, co robi.

I powstając otulił się swym płaszczem, nacisnął na głowę słomiany kapelusz i rzekł:

– No! zbierajmy się chłopcy. Kosy wziąć i trzymać je poziomo, bo chociaż w takich ciemnościach nikt nas zobaczyć nie może, wszelako strzeżonego Pan Bóg strzeże. Miejcie się też na baczności, by się w tych ciemnościach nie pogubić, a moich rozkazów słuchać! Czyście gotowi?

– Gotowi!

– A więc w imię boże ruszajmy!

Wydostali się na miedzę wąską i posuwali się nią jeden za drugim, z księdzem na czele, a Tomkiem na końcu. Ciemno było tak, że gdyby nie biały kapelusz zakonnika i nie to, że droga ich sama prowadziła, byłiby się pogubili. Nagle ksiądz zatrzymał się i zwracając się do towarzyszów szepnął:

– Teraz cicho, dech w sobie zatrzymać, stąpać ostrożnie, bo przechodzić będziemy koło placówek.

Posuwano się więc jak można najciszej, choć zgoła to nie było potrzebne, bo coraz większe ciemności ogarniały ziemię, wiatr świszczął wśród łąnów zboża coraz silniej, a grzmoty stawały się z każdą chwilą głośniejsze. Od czasu do czasu olbrzymie błyskawice zapalały sobą pół horyzontu i na jedno mgnienie oka czyniły całą okolicę jasną jak w dzień. Czyniło to pochód czterech zuchów bardzo niebezpiecznym, bo w czasie takiego nagłego oświetlenia placówki mogły ich dostrzec i narobić alarmu. Ale na to już nie było rady. Posuwano się szybko i w głębokim milczeniu.

A tymczasem burza szybko się zbliżała. Wiatr wzrastał się, wył i świszczął po całej tej wielkiej płaszczyźnie, gdzie nic jego harcom nie stawiało zapory. Grzmiało nieustannie, jakby gdzieś tam po chmurnej przestrzeni toczyły się wielkie wozy napelnione kamieniami. Wicher porywał całe tumany kurzu, liści, drobnych gałązek i niósł je, smagając czterech podróżnych nielitościwie. Mimo to szli oni ciągle, pragnąc jak najprędzej wydostać się z obrębu placówek.

Wreszcie ksiądz zatrzymał się i odetchnął, jakby mu kamień spadł z serca.

– No, jużemy minęli strażę – odezwał się – zdaje mi się, że jesteśmy na drodze. Czuję piasek pod nogami.

W tejże chwili wielka błyskawica rozjaśniła noc i przekonano się, że ksiądz się nie mylił. Droga wiła się przed nimi, obsadzona karłowatymi wierzbami. Deszcz kroplisty padać też począł, a wiatr od czasu do czasu przynosił żałośliwe naszczekiwanie psa, takie samo jak wczoraj.

– Słysząc psa – rzekł ksiądz – jesteśmy więc na drodze. Teraz chłopcy, trzeba nam się rozdzielić. Jacuś i Franek pójdą lewą stroną drogi, samym jej skrajem, ja zaś i Tomek prawą stroną. Środek zostawić należy pusty; gdybyśmy usłyszeli kogo idącego, rzucimy się z obu stron i capniemy go. Ale też deszcz! W taką noc z pewnością szpiedzy są czynni. Gdy dojdziemy do parowu, połączymy się ze sobą i postąpimy stosownie do okoliczności. Gdyby wczorajsze widmo się ukazało, nie tchórzyc, ale z dwóch stron je na kosy. Zrozumieliście?

– No! już ja łotra dobrze poczęstuję! – mruknął Wiertelewicz – posiekam go na zrazy za swój wstyd wczorajszy.

– A teraz w drogę! Niech was Najświętsza Panna Częstochowska ma w swej opiece.

Rozdzielono się więc na dwie części i ruszono skrajami drogi, idąc tuż pod krzakami i drzewami. Deszcz wzmagął się i lał jak z cebra, kilka piorunów ognistymi wstęgami przepruło czarne chmury, ale na szczęście wichur znacznie ucichł. Wśród szumu deszczu i grzmotów niktających powoli nieustannie rozlegało się dalekie, jęklive wycie psa, które w sposób przygnębiający oddziaływało na Tomka. Ale szedł za księdzem, który przodem posuwał się śmiało i którego biały kapelusz był jedynym drogowskazem w tych nieprzejrzanym ciemnościach. Minęło tak ze dwa pacierze, deszcz zaczął ustawać i burza widocznie oddalała się. Droga była ciężka, bo piasek się zmienił w grząskie błoto, w którym nogi zanurzały się po kostki, a nade wszystko z tego powodu przykra, że po ciemku potykano się o różne przeszkody, o kamienie, krzaki, rowy, a raz nawet ksiądz upadł jak długi i wstając mruknął:

– A tom się ubabrał, jak nieboskie, z przeproszeniem, stworzenie. Na szczęście, gdy się zbliżano do parowu, o czym dowiedziano się z wyraźniejszego i donośniejszego szczekania psa, deszcz prawie ustał i rosił tylko lekko, a niebo nieco się rozjaśniło. Chmury popłynęły gdzieś daleko i ponury ich pomruk głucho tylko słyszeć się dawał. Na niebie, na zachodzie zajaśniał błydy blask zorzy wieczornej i dzięki temu rozróżnić już można było ruchliwe i czarne sylwetki drzew zarastających parów, a nawet widać było srebrzystą taflę stawu.

Wszyscy zatrzymali się na miejscu i mimo woli zwrócili oczy na figurę z Boską Męką, której niewyraźne, rozplywające się kontury raczej odgadywali niż widzieli. Nim jednak zdołali się według umowy połączyć, białe widmo tak samo jak wczoraj wysunęło się spoza rozłożystego drzewa i posuwało się ku nim z tym samym złowrogim chrzęstem przypominającym trzask kości szkieletu, chrzęstem, który taką zabobonną trwogą przejął ich wczoraj. Widmo tak samo machało rękami w powiewne szaty przybranymi, tak samo kierowało się, by zastąpić drogę od strony parowu.

Ale teraz nikt o ucieczce nie myślał; nawet Tomek, choć mu zęby głośno dzwoniły, ścisnął tylko nerwowo drzewce kosy, gotując się do strasznego ciosu. Lecz uprzedził go Wiertelewicz. Widocznie rozgorączkowany, jak tylko mara wkroczyła na drogę, wyskoczył na jej środek, podbiegł parę kroków naprzód, kosa ze świstem przerznęła powietrze, migotliwym blaskiem zajaśniała na chwilę i uderzyła widmo po nogach. Zachwiało się ono, zatrzepotało rękami i z głuchym jękiem runęło na drogę.

Wszyscy czterej w jednej chwili znaleźli się przy olbrzymiej postaci szamoczącej się rozpaczliwie; Wiertelewicz znów podniósł kosę, by jeszcze jeden cios zadać, ale ksiądz powstrzymał go, wołając przyciszonym głosem:

– Jacuś, nie bij! żywcem łotra weźmiemy! A Franek schylił się, szybko schwycił oburącz za białe szaty, wstrząsnął nimi silnie i na wielkie zdziwienie obecnych dało się słyszeć płaczliwe:

– Aj! waj mir!

Mimo woli wszyscy czterej roześmieli się z tego rozpaczliwego krzyku, a ksiądz rzekł:

– Macie stracha!

Franek, który ciągle szarpał białe szaty na ziemi, pytał:

– Gdzie twój łeb, Żydzie?

Na koniec dobrał się do tego łba i schwyciwszy go za bujną czuprynę wywlókł z białego worka brodatą twarz Żyda. Miał on do nóg przywiązane szczudła i dlatego taki olbrzymi się wydawał. Z trudnością odwiązano go od tych szczudeł, rozebrano z płacht i worków i przed nimi stanął wysoki, szczupły Żydek cały dygocący.

– Co ty tu robisz, hultaju? – spytał ksiądz.

– Ja!... aj waj! ja nic nie robię, wielmożny panie, ja biedny Żydek, mąkę niosłem.

– Łzesz! gadaj prawdę, bo cię zaraz obwiesimy na tym drzewie.

– Co ja mam łąć, jasny panie, po co ja mam łąć?... nu ja powiem panu prawdę, całą prawdę...

Mówiąc tak oglądał się dokoła niespokojnie i nagle rzucił się w bok, widocznie w zamiarze ucieczki. Ale Franek silną dłonią schwycił go za połę kubraka i szarpnął tak mocno, że Żyd jak długi runął na ziemię. W jednej chwili dzielny rybak przysiadł mu na piersi i syknął, podnosząc potężną pięść:

– Jak się ruszysz, na śmierć ubiję!

Już teraz Żydek nie stawiał oporu. Dygocząc całym ciałem począł błagać, by go nie zabijano, że on wszystko powie, byle mu życie darowano.

– Dobrze, nic nie będzie, ale gadaj prawdę. Dlaczego się przebrałeś za stracha?

Tedy Żydek przyznał się, że on tu był postawiony na warcie i żeby nikt nie śmiał zbliżyć się do domu w parowie, przywiązał sobie szczudła, okrył się płachtami i w ten sposób wczoraj i kilkakrotnie różnych ludzi z sąsiednich wiosek tak przestraszył, że ci uciekli. Powiedział dalej, że w pustym domku tam w parowie co noc przychodzi Żyd z Warszawy i spotyka się z dwoma innymi Żydami z Raszyna, a wczoraj był tam nawet jakiś „jenerał” pruski; ale o czym gadają, on nie wie, on nic nie wie, on jest całkiem niewinny, on jest na służbie u Szai z Raszyna i musi robić to, co ten mu każe. On się nazywa Mordka i jest biedny Żydek.

Powstała teraz kwestia, co z nim zrobić?

– Skorośmy tu już przyszli – mówi ksiądz – i skoro, że tak powiem, dotarliśmy do gniazda zdrady, musimy iść do końca. Pójdziemy więc do tego domu w parowie, ale co zrobimy z Żydem?

– Ja zostanę przy nim na straży, a że mi szelma nie ucieknie, to niech ksiądz dobrodziej będzie spokojny – proponował Franek.

– Nie – rzekł ksiądz po chwilowym namyśle – nie możemy się rozdzielać. Nie wiadomo, co tam zastaniemy, ilu ludzi tam zastaniemy, ilu ludzi tam będzie. Nie ma innej rady, tylko trzeba Żyda skrępować dobrze, przywiązać do drzewa, gębę mu zakneblować, żeby nie krzyczał i tak zostawić. Jak będziemy wracali, to go zabierzemy ze sobą.

Sznurów nie mieli, ale pasami i pendentem od pałasza księdza Żyda związali i przymocowali do drzewa, tak że się nie mógł ruszyć. Zresztą zdaje się, że zemdłał ze strachu, bo przywiązany zwisał jak nieżywy. W usta wpakowano mu dwie chustki i dokonawszy tego, uzbrojono się znów w kosy i pod przewodnictwem księdza zaczęto spuszczać się drogą w parów.

Deszcz zupełnie ustał, rozwidniło się trochę, tylko pies w ciszy nocnej zawzięcie ujadał.

ROZDZIAŁ IX

Jako Tomek dostał kijem po głowie i co z tego wynikło.

Po krótkiej naradzie ruszono na dół. Droga była grząska i śliska, deszcz niedawny powyżłabiał w niej kanały, którymi woda pędziła i pomimo wszelkiej ostrożności odgłos kroków rozlegał się w ciszy nocnej donośnie. Pies widocznie to usłyszał, bo szczekał ciągle i gwałtownie. Ksiądz jak zawsze postępował przodem, zalecał baczność i pytał Wiertelewicza.

– Cóż, Jacuś, dziś nie widać jakoś światła?

– A nie widać! – odpowiedział – może usłyszeli naszą przygodę ze strachem i uciekli.

– Może – szepnął ksiądz. – A najpewniej mają się na ostrożności i zasadzkę na nas uczynili. Ten kanalia pies wściekł się, czy co?

Zeszli już na dół i znaleźli się przy stawie, który od blasków zorzy wieczornej wyglądał jak srebrzysta lustrzana tafla. Na prawo, wśród drzew, ogrodzony dokoła gęstym żywopłotem wznosił się niewielki dworek z ogromnym starożytnym dachem w dwie kondygnacje. Gdy się do domu tego zbliżyli i obchodzić go poczęli szukając wejścia, dostrzegli z boku z okna wychodzącego na zachód promień światła czerwonego, które przedostając się przez szyby kładło się gorącymi plamami na liściach krzaków sąsiednich.

Ksiądz odetchnął, wobec tego bowiem o zasadzce mowy być nie mogło, ani też o tym, by historia z Żydkiem za stracha przebranym doszła do uszu szpiegów ukrytych w domu. Toteż zakonnik rzekł:

– Chwała Panu Bogu, ptaszki są w gnieździe i o niczym nie wiedzą. Posunięto się tak, że miano owe okno oświetlone przed sobą. Niewiele można było dojrzeć przez mocno zakopcone i maleńkie szybki, ale liczne cienie posuwające się przed światłem dowodziły, że wewnątrz jest kilka osób. Ksiądz popatrzawszy na to szepnął:

– Trzeba nam się koniecznie dostać do wnętrza, ale nie widzę nigdzie wejścia, a przez ten żywopłot niepodobna.

– Przecie musi być gdzieś jakieś wejście – rzekł Tomek.

– No! no! – mruknął Wiertelewicz z humorem. – Tomek widać nie jest taki ciemięga, jak mi się wydawał i o logice ma pewne pojęcie. Jużćie skoro ludzie w tym domu bywają, to muszą do niego wchodzić, a skoro wchodzi, wejście być musi. Prawda Tomek?

– Oczywiście.

– A więc szukajmy tego wejścia – zakonkludował ksiądz.

Poczęli więc dalej obchodzić i z tyłu znaleźli w żywopłocie furtkę, ale zamkniętą od wewnątrz na zasuwę. To było jeszcze nic, bo furtka nie była zbyt wysoka i łatwo można było przez nią przeleźć, ale tuż przy niej znajdował się ogromny brytan, uwiązany wprawdzie na łańcuchu, ale tak, że nikt nie mógł obok niego przejść nie narażając się na spotkanie z jego straszными zębami. Poczawszy obcych ludzi przy furtce brytan począł ujadać straszliwie i rzucać się tak gwałtownie, że aż łańcuch trzeszczał. Wobec tej nieprzewidzianej przeszkody czterej zuchowie nie wiedzieli, co począć i jak sobie poradzić.

– Co robić? – spytał ksiądz.

Nikt nie umiał mu na to odpowiedzieć, wreszcie Franek po krótkim namyśle rzekł:

– Wleżę na furtkę i kosą psa zadżgam.

– Hm! byłoby to dobre, gdybyś za jednym ciosem z nim zakończył, ale możesz go tylko zranić, poczniesz skomleć i szpiegów ostrzeże. Ja i tak dziwię się, że nikt na to straszliwe ujadanie z domu nie wychodzi.

– Cóż – rzecze Franek – zawsze trzeba spróbować. Wleżę na furtkę, co?

– Nie! – rzecze ksiądz po krótkim namyśle – nawet gdybyś psa zaraz zabił, to i tak nie będzie dobrze. Jeżeli nikt na szczekanie nie pokazuje się z domu, to dla tego, że oni przywykli do tego. Nagłe zaś ucieszenie się psa zwróci ich uwagę. Ale co to? Ktoś idzie ku furtce!

W rzeczy samej słyhać było otwierające się w domu z przeciągłym zgrzytem drzwi, liczne kroki na dziedzińcu, a nawet głosy, które wołały:

– Burek! a waruj! do nogi!

Zaraz potem dał się słyszeć dość głośny, gardłowy szwargot żydowski. Widoczne było, że zebrani szpiedzy, załatwiwszy swe interesy, opuszczali samotne i tajemnicze domostwo. Nie było więc ani chwili do stracenia. Ksiądz szepnął do swoich:

– Ty, Jacuś i Franek, ukryjcie się z tej strony za tym drzewem, ja z Tomkiem z tamtej zaszycie się w krzaki. Gdy wyjdą szpiedzy, wpadniemy na nich i żywcem ich weźmiemy. Rozumiecie? Zachować się cicho! Ukryć się!

Czas już był wielki, bo szwargoczący zbliżali się do furtki i zatrzymali się koło psa, który nie przestawał szczekać gwałtownie i rzucać się. Oczywiście niepokój psa zwrócił ich uwagę, stali nad nim, szwargotali ciągle pomiędzy sobą i starali się go uspokoić. Wtedy dały się słyszeć nowe kroki, ciężko klapiące po błocie dziedzińca i dzwoniące ostrogami, a zaraz potem, gruby męski głos zawołał:

– Was ist denn da?

Żydzi mu coś odpowiedzieli, głos coś rzekł parę razy, wreszcie zawołał:

– Heraus! Macht die Thür auf!

Zgrzytnęły zawiasy i najprzód ukazał się olbrzymi mężczyzna w długim szarym płaszczu, z hełmem kirasjerów pruskich na głowie, w którego orlich skrzydłach na szczycie na chwilę zajaśniał odbłask zorzy wieczornej. Szedł ciężko i dumnie, dzwoniąc ostrogami u wielkich po kolana butów. Za nim wysunęło się trzech małych, nędznych, chuderławych Żydków w długich podkasanych chałatach szwargoczących nieustannie, a jeden z nich zatrzymał się przy drzwiach i począł szukać po kieszeniach czegoś, zapewne klucza.

Wszystko to czterej nasi zuchowie widzieli, ukryci za krzakami i czekali tając dech w sobie w milczeniu i niepewności. Ale Wiertelewicz nie wytrzymał, podniósł szybko kosę w górę i ze strasznym łoskotem i zgrzytem spuścił ją na lśniący hełm kirasjera pruskiego. Ten padł z krzykiem na ziemię, a zaraz też ksiądz, Tomek i Franek wypadli i skoczyli do Żydów. Ale dwaj z tych ostatnich spostrzegli się dość wcześnie i jeden z nich wypalił z pistoletu do księdza tak blisko, że mu twarz osmalił, a kula zerwała kapelusz, tak że zagłuszony i oślepiiony strzałem zakonnik nim się opamiętał. Żyd już skoczył w bok, zaszył się w gęste krzaki i zniknął. Drugi kijem, który trzymał w ręku, uderzył Tomka tak mocno przez głowę, że chłopak z jękiem zatoczył się i padł twarzą w błoto. Nim się podniósł i opamiętał, Żyd już uciekł. Jeden tylko Franek dusił pod sobą tego, który drzwi zamykał, a Wiertelewicz także siedział na kirasjerze i jedną ręką trzymając go za gardło, tak że Niemiec charczał zduszony, drugą wyciągał mu spod płaszcza dość znacznych rozmiarów torbę skórzaną, czymś wypełnioną – przy czym wołał:

– Pomóście mi, bo już sił nie czuję!

Przybiegli mu na pomoc ksiądz i Tomek, który połą od kubraka ocierał sobie twarz z błota. Pokazało się, że kirasjer był tylko ogłuszony i że cios zadany mu kosą przez Wiertelewicza trafił w hełm, pogiął go mocno i wbił na twarz, po same usta.

Zresztą Prusak był zdrowy, szarpał się i rzucał z wielką siłą, klnąc i wymyślając. Nadbiegł też i Franek, który szybko załatwił się z Żydem, związawszy mu ręce rękawami od jego własnego łapserdaka, palnął pięścią w kark i rzucił na drogę mówiąc:

– Leż tu, ani mi się rusz, bo inaczej kosą ci łeb utnę. Tak się załatwiwszy, pobiegł do kirasjera, a widząc, jak trzech jego towarzysze z nim się szarpia, zawołał:

– Odwiązać mu pałasz i pendentem skrepować łapy!

Sam się też zaraz do roboty zabrał. Dzięki temu, że był silny niezwykle, zdołał odwiązać pałasz i wkrótce kirasjer skrepowane mając ręce, leżał nieruchomo, kłął tylko i wymyślał po niemiecku spod swojego hełmu, który mu zakrywał nieomal twarz całą. Wiertelewicz trzymał torbę skórzaną i mówił:

– Tu zapewne są szpiegowskie papiery.

– To zobaczymy później, a teraz w drogę! – rzekł ksiądz – marudzić nie można, bo dwóch Żydów uciekło i mogą nam lada chwila sprowadzić Prusaków na kark. Śpieszmy się więc chłopcy, byśmy przepłynąwszy całą rzekę przy brzegu nie utonęli.

Kazano więc wstać Żydowi, który drżał i jęczał.

Prusaka z trudnością podniesiono, bo się opierał, a był to mężczyzna tęgi i wielkiego wzrostu. Stanąwszy na nogach nie chciał iść, aż dopiero zmuszono go do tego bijąc drzewcami od kos, a ksiądz, który umiał trochę po niemiecku, wytłumaczył mu, że jeśli nie pójdzie, to będą go musieli zarabac kosami. Ruszono wreszcie otaczając jeńców dokoła. Ksiądz szedł przodem, po obu stronach Franek i Wiertelewicz, a z tyłu Tomek, który otrzymał rozkaz, ażeby w razie najlżejszego oporu jeńców nie szczędził ich wcale i popędzał drzewcem. Posuwano się z trudnością po grząskiej i śliskiej drodze i wreszcie szczęśliwie wydobyto się z parowu na drogę, pod figurę, gdzie stał przywiązany do drzewa Żydek Mordka z Raszyna. Tu, gdy Tomek zajął się odwiązywaniem tego ostatniego i przyprowadzaniem zemdlonego do przytomności, ksiądz począł pilnie nadśluchiwać, czy czasem nie dojdzie go jaki podejrzany odgłos. Ale nic, było cicho! Wiatr tylko szumiał po zbożu, a pies w samotnym domu w parowie ujadł ciągle gwałtownie.

Ruszono więc w dalszą drogę, ale posuwano się bardzo wolno z powodu, że Mordka co chwila omdlewał i upadał, a kirasjer także przystawał, kłął i prosił, by mu hełm zdjęto z głowy, bo inaczej się udusi. Franek dokonał tego z wielkim trudem, przy czym twarz pruskiego wojownika podrapana mocno, cała ukazała się zakrwawiona. Ksiądz począł się niepokoić tymi przystankami i tą stratą czasu i odezwał się:

– Chłopcy, zdaje mi się, że ten hultaj Prusak umyślnie się ociąga, a Żydek umyślnie mdleje, żeby nasz pochód opóźnić i Niemców nam na kark sprowadzić. Słuchaj Tomek, jak Mordka jeszcze raz zemdleje, utnij mu łeb kosą i koniec. Mordka, czy ty słyszysz?

– Słyszę! aj waj mir! co ja zrobię, biedny Żydek, kiedy ja iść nie mogę! ja zupełnie omdlałem, mnie strasznie w brzuchu boli. Co ja zrobię, na moje sumienie!

– Toteż żebyś więcej nie cierpiał, jak jeszcze raz upadniesz, łeb ci utnę kosą! – rzekł Franek.

Groźba ta poskutkowała i odtąd Żydek nie omdlewał, ale kirasjer za to co chwila przystawał, kłął i wymyślał. Ksiądz zwrócił się do niego i oddając nabity pistolet Frankowi rzekł do Prusaka po niemiecku:

– Panie kirasjer, widzisz ten pistolet? Kazałem oto temu żołnierzowi, żeby ci w razie dalszego oporu w łeb wypalił. Jeżeli liczysz na pomoc twych rodaków, to się grubo mylisz, bo najprzód nasze placówki są niedaleko, a potem pojawienie się Prusaków będzie dla ciebie wyrokiem śmierci.

Kirasjer zaklął pod nosem i milcząc szedł dalej bez oporu. Posuwano się dość zwawo i ksiądz nabierał otuchy, że już teraz, choćby Niemcy się pojawili, to huk wystrzału pistoletowego

wego będzie usłyszany w szańcach polskich i pomoc z pewnością nadbiegnie. Szedł więc przodem wesoło nie spodziewając się wcale, jakie ciężkie kłopoty jeszcze go czekają.

ROZDZIAŁ X

W którym Wiertelewicz przekonał się, że najlepszym lekarstwem na ból brzucha jest bitwa z Prusakami.

Gdy tak posuwano się, w ogólności dość wolno pomimo wszelkich usiłowań, ksiądz był coraz niespokojniejszy. Do najbliższej polskiej placówki było jeszcze z ćwierć mili, a tu zdawało mu się, że od czasu do czasu z przeciągłym naszczekiwaniem psa wiatr przynosił jakiś gwar i jakby tętent koni. Nic o tym nikomu nie mówił, bo po cóż miał ich trwożyć, ale był pewny, że kawaleria pruska jest w samotnym domu w parowie i prawdopodobnie ich ściga. Nalegał więc, groził i prosił, by śpieszono, ale sam widział, że to było niemożliwe. Wszyscy byli nadzwyczaj zmęczeni, a droga ciężka, w której grzęźnięto po kolana, a Tomek na końcu ledwie nogami powłóczył.

„Co robić?” Różne myśli przychodziły mu do głowy i ostatecznie postanowił w razie zbliżenia się kawalerii pruskiej jeńców rzucić, a samym skoczyć w bok w żyto, oczywiście z torbą skórzaną zdobytą na kirasjerze, i uciekać. Na wypadek, gdyby ich dognano, postanowił sformować czworobok i bronić się kosami do ostatka, wypaliwszy wprzód z pistoletu na alarm. Nic jednak o tych swoich zamysłach nie mówił towarzyszom, bo nie miał żadnej pewności, czy jest w rzeczy samej ścigany, a dochodzące go odgłosy mogły być wytworem rozgorączkowanej fantazji.

Ale wkrótce miał się przekonać, że niestety nie była to fantazja, ale najrzeczywistsza rzeczywistość.

Mając nieustannie słuch natężony, zwracając się często poza siebie i wpatrując w ciemności nocne, które teraz znowu zwiększyły się znacznie wskutek ponownego zachmurzenia się nieba, nie uważał na ruchy kirasjera. Podnosił on często głowę, przystawał na chwilę, zwracał się bokiem i widocznie chciwie chwycił uchem te same dalekie odgłosy, które tak księdza niepokoiły.

Nagle zawiął silniejszy podmuch wiatru zachodniego i przyniósł wyraźnie odgłos tętentu, a raczej kłapania po błocie kilkunastu a może kilkudziesięciu koni i brzęk szabel. Wszyscy to usłyszeli i mimo woli wszyscy się zatrzymali jak skamienieli, zwracając się twarzą poza siebie. Z tej chwili skorzystał kirasjer i nagle schylił się w pół, skoczył jak pantera i głową uzbrojoną w żelazny hełm z taką siłą uderzył w brzuch Wiertelewicza, że ten krzyżąc „Jezus! Maria!” przewrócił koziołka i padł jak długi na ziemię. Kirasjer zaś zaszył się w zboże; przez chwilę słychać było, jak biegł, a potem znikł zupełnie w ciemnościach.

Pierwszy opamiętał się Franek i krzyżąc: „a łotr”, chciał się rzucić za kirasjerem, ale go ksiądz powstrzymał:

– Daj pokój, na nic by się to nie zdało. Niech mu tam Pan Bóg sekunduje, nam teraz nie powinno iść o jeńców, ale o własną skórę. Czy słyszycie? W rzeczy samej tętent pędzącej jazdy coraz wyraźniej słychać się dawał.

– Moi chłopcy – rzekł ksiądz – nie ma co. Żydów zostawimy, a sami w bok w żyto. Tam się ukryjemy, szczęściem, że noc robi się coraz ciemniejsza. Gdyby nas jednak wytropili, staniami plecami do siebie i bronić się będziemy kosami do ostatka. Cóż, dobrze?

– To się wie, że dobrze! – odparł Franek.

– Ale gdzie jest Wiertelewicz? Czegóż on tak jęczy?

Istotnie gdzieś z głębi nocy dochodziły słabe jęki biednego Jacusia. Wyszukano go, podniesiono strasznie ubabranego w błocie i narzekającego mocno:

– Coś mi hultaj Prusak w brzuchu popsuł, bo mię strasznie boli. Palnął mię tym swoim hełmem jak rogiem byka... a niechże go siarczyste! Kto by się był spodziewał! Ale torby nie zgubiłem, mam ją. O! joj! joj! jakże mię łotr poczęstował!

– Mój Jacuś – rzecze na to ksiądz – zbierz wszystkie siły, bo niebezpieczeństwo jest bardzo groźne. Słyszysz Prusaków?

– A słyszę, co nie mam słyszeć? Ja ich już od dawna słyszę i dziwię się, że nas dotąd nie dogonili. Widać, że pludry się boją i idą z wielką ostrożnością... o! joj! joj! ani chybi hultaj mi kiszki powykręcał!

– Nie plótfłbyś głupstw – ozwie się na to ksiądz – że cię ta trochę palnął w brzuch, to już ci miał zaraz kiszki powykręcać.

– Trochę, dobra mi trochę! żeby tak księdza ten Szwab palnął, to by ksiądz już dawno nie żył, a ja jeszcze żyję i Niemcom się nie dam.

Schylił się i podniósł z ziemi kosę, jęcząc i narzekając. Ksiądz tymczasem zbliżył się do Żydów, którzy stali na środku drogi z powiazanymi w tyle rękami i coś szwargotali do siebie, rozciął im węzły i rzekł:

– Ruszajcie sobie z Panem Bogiem, dokąd chcecie.

– Ny – ozwie się na to starszy Żyd, ten, którego Franek schwytał przy furcie samotnego domu – to teraz ksiądz mówi: ruszajcie sobie, gdzie chcecie. Trzeba to było wprzódy powiedzieć, my teraz nie pójdziemy, jeno poczekamy na tych tam kirasjerów i tak samo panów powiązemy, jakeście wy nas powiazali. Aj waj! jacy mi rycerze! teraz to ty Żydzie idź, bo ja sam w strachu!

Ksiądz osłupiał na tę szyderską mowę i przez myśl mu przebiegło, że Żydzi ich nie odstąpią i zdradzą. A Żyd dalej prawił:

– Jakie mi wielkie pany, rozbójnik!! My pójdziemy, ale ty oddaj torbę, coś ją ukradł kirasjerowi!

Franek słuchał tego także i widocznie nie mógł już dłużej znieść niesłychanego zuchwalstwa Żydów. Skoczył, wyrwał księdzu z ręki rzemieńne paski i pandenty, którymi Żydzi byli powiazani i począł ich bezlitośnie nimi prać, nie zważając, gdzie uderza. Ta gorąca łaźnia poskutkowała, bo obaj Żydzi poczęli zmykać, jak oparzeni. Zatrzymali się jednak o kilkanaście kroków i dalejże krzyżeć;

– Ty zbój, ty złodziej, ty taki, ty owaki!

A ksiądz woła do Franka:

– Franuś, pal do nich z pistoletu, pal! trzeba dać znać naszym w okopach o niebezpieczeństwie, pal na chybił trafił!

Franek wypalił, obaj Żydzi strasznie krzyknęli i słyhać było, jak biegli po błocie, potem rozległ się jeszcze jeden ich krzyk, szamotanie się jakieś, głosy i tętent cwałujących koni.

– No! teraz w nogi, w bok! – rozkazywał ksiądz.

Wszyscy czterej jednym skokiem znaleźli się w życie i biegli, co mieli sił, kierując się wszakże tak, żeby zbliżyć się do okopów.

Ale nie uszli i kilkunastu kroków, gdy Wiertelewicz runął jak długi na ziemię potknąwszy się o jakiś kamień.

– Ojoj! joj! – jęczał – już teraz będzie ze mną koniec. Nie podniosę się, bo mi coś strasznie wierci w brzuchu.

– Jacuś! – zawołał ksiądz – bój się Boga! nie bądź babą! Wstań, tu idzie o życie.

– Ale! nie bądź babą! żeby księdza tak brzuch bolał, to by ksiądz ruszyć się nie chciał.

Tak mówiąc wstał jednak. Czas już był wielki, bo jazda pruska dopadła do tego miejsca na drodze, z którego skoczyli w żyto. Zatrzymała się tutaj, rozległy się głosy, nawoływania jakiegoś. Nasze zuchy nie czekając już puścili się dalej, gdy nagle tuż prawie za nimi zagrzmiął donośnie znany im, basowy głos kirasjera schwytanego w domu w parowie. Stał on gdzieś i krzyczał ze wszystkich sił:

– Hey da! Herr Lieutenant, hier sind sie! hier!

Księdzu włosy na głowie powstały. Nie ulegało wątpliwości, że zostaną dopędzeni i zarąbani.

– Stać! – zakomenderował.

Gdy stanęli, rzekł do Franka podając mu pistolet:

– Masz tu drugi pistolet i pal w stronę, skąd głos szedł!

Franek wystrzelił, a na to hasło wszystka jazda dotąd kręcąca się na drodze rzuciła się w żyto, w kierunku, gdzie czterej młodzieńcy stali.

– Chłopczy! – rozkazywał ksiądz – plecami do siebie, osadźmy się krzepko i weźmy Szwabów na kosy!

Spełnili rozkaz w milczeniu, jeden tylko Wiertelewicz mrucał:

– Ojoj joj, muszę popruć Szwabom kiszki za mój brzuch!

Ale już jazda pruska z trzaskiem, brzękiem i świstem dobywanych szabel dopadła, nawołując się nawzajem i wskazując sobie miejsce, gdzie czterej samotni młodzieńcy stali jak mur, gotowi drogo sprzedać swe życie. Kosy oparli drzewcami o ziemię, wystawiając ostrza przeciw kawalerii, która w ciemności rozbiegła się po polu szukając nieprzyjaciela. Na koniec jeden z kirasjerów dostrzegł gromadkę polską i krzycząc „hier!” uderzył na nią z szablą. Ale koń, napotkawszy ostrze kosa księdza, spał dęba, a w tejże chwili Franek podniósł swą straszną broń, spuścił ją z wielkim zamachem na jeźdźca, który, rozplątany nieomal na dwoje, padł bluzgając krwią dokoła.

Na ten widok wszyscy czterej zuchowie, uniesieni zapałem, potrzęsneli kosami i zawołali jednogłośnie:

– Niech żyje Polska...!!

Reszta okrzyku zginęła w donośnej wrzawie kirasjerów, którzy ze wszech stron rzucili się z dobytymi szablami na tych czterech młodzieńców. Rozpoczęła się uparta walka, trwająca parę sekund, w której i tym razem kosa odniosła zwycięstwo. Dokoła gromadki bohaterów leżały porąbane konie i jeźdźcy, tworząc wał, który broniących się doskonale osłaniał. Ale i oni nie wyszli bez szwanku. Franek miał przebite mieczem ramię, Tomka koń zranił kopytem w czoło, a księdzu jakiś kirasjer przeciął drzewce od kosa, tak że samym nieomal ostrzem bronić się teraz musiał.

Jeźdźcy rozpierzchli się, ale co chwila po kilku lub pojedynczo napadali, zawsze atoli bezskutecznie. Wtedy ich dowódca kazał zatrąbić na zbór i słychać było, jak się zbiegli do szeregu. Nastąpiła chwila odpoczynku.

– Chłopczy! – rzekł ksiądz – dzielnieśmy się spisali. Wytrwajmy jeszcze trochę, a z pewnością pomoc nam nadbiegnie, bo niepodobna, by taka wrzawa nie doszła do szanów. Ale co oni zamyślają teraz robić?

– Bóg ich tam wie – odpowiedział Wiertelewicz. – To pewna, że brzuch mię przestał boleć i będę Szwabów dalej siekł na kaszę.

Tymczasem w szeregach kirasjerów rozległa się komenda ich dowódcy:

– Gewehr auf!

Zabrzęczała broń, słychać było wyraźnie trzask odwodzonych kurków. Ksiądz krzyknął:

– Strzelać będą, rzućmy się na ziemię!

Wszyscy padli plackiem, a zaraz też dowódca niemiecki zakomenderował.

– Feuer!

Zajaśniał pasek purpurowego ognia, rozległ się huk kilkunastu strzałów, kule świsnęły, ale oczywiście poszły górą; jedna tylko zerwała kapelusz z głowy księdza, który niezupełnie położył się na ziemi.

– A to licho! – mruknął – znów muszę się starać o nowe pokrycie łepetyny. Ale w tejże chwili, nim huk jeszcze przebrzmiał, zadudniła ziemia na drodze i rozległ się śpiewny głos litewski majora Lipnickiego, który komenderował:

– Do ataku broń! nauczymy braciaskowie tych szoldrów moresu!

I koło naszych czterech bohaterów, przytulonych do ziemi, przeleciała wichrem linia ułanów, których chorągiewkami wiatr rozgłośnie miotał.

ROZDZIAŁ XI

Jako wszyscy czterej zuchowie otrzymali tytuł gwardzistów.

Gdy ułani Lipnickiego w pościgu za kirasjerami pruskimi oddalili się, czterej nasi młodzieńcy podnieśli się z ziemi i odetchnęli swobodniej.

– No – rzekł zakonnik – podziękujmy najpierw Panu Bogu, że nas tak cudownie ocalił od śmierci lub niewoli.

Powiedziawszy to ukląkł, podniósł oczy w niebo chmurne i dżdżyste i cichą modlitwę posłał do Pana Zastępów. Za jego przykładem poszli trzej chłopcy, po czym wszyscy powstali.

Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, Wiertelewicz począł znów stękać i narzekać, że go w brzuchu ciągle coś boli. Za jego przykładem poszedł Tomek, ocierał krew ze zranionego ostrym kopytem czoła i mruczał, że go głowa także mocno boli.

Słyszając ich narzekania Franek również się odezwał:

– Co tam wy, ale mnie Szwab na nic przedziurawił ramię i nie wiem, jak to będzie, bo mi strasznie dolega.

– Trudno, moi chłopcy – ozwie się na to ksiądz – gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. A choćciem stracił znowu kapelusz i nie wiem, skąd wezmę nowy, bo jako zakonnik grosza nie mam przy duszy, wszelako każdy przyzna, żeśmy się dzielnie spisali. Patrzcie jeno, cośmy tych Niemców nasiekli!

W rzeczy samej blisko nich wałało się kilka trupów koni i jeźdźców, ziemia była dokoła zorana kopytami, a zboże stratowane. Ilu kirasjerów padło, nie wiedzieli, bo było ciemno, przy tym bliżej badać im się tego nie chciało, tak pragnęli spoczynku, spokoju i opatrzenia swych ran. Wiertelewicz tylko wyszukał dla siebie karabinek i patrontasz blachą kryty, z nabojami oraz wielką szablę niemiecką, którą stękając i narzekając przypasał sobie do boku. To samo zrobił Tomek i Franek, a ksiądz nakrył swą, jak mówił, łepetynę wielkim hełmem kirasjerskim z orłami. Uskuteczniejszy to rzekł:

– Teraz, chłopcy, maszerujemy do okopów. Stąd już będzie tylko małe ćwierć mili. Pójdziemy sobie powoli. Tam nas fizyk Gagatkiewicz jutro rano opatrzy. Jacuś, a maszże torbę z papierami?

– Rozumie się, że mam, ale mię brzuch coraz więcej boli.

– Ej, głupstwo!

– Ale głupstwo! Dobrze księdzu gadać, kiedy tylko kapelusz postradał, a nie ze trzy kiszki tak jak ja.

– Albożeś ty postradał jaką kiszkę?

– Rozumie się, czegożby mię brzuch tak bolał, gdyby mi ten Szwab zatracony czego nie zepsował?

– A jeszcze – ozwie się na to Tomek – jak wrócimy do okopów, to nas pan Blum orźnie jak kotów.

– Za co?

– Za to, żeśmy bez jego pozwolenia poszli się bić ze Szwabami. Już onegdaj to chciał zrobić; srogi to człowiek!

– No, no! – rzeknie ksiądz – nie bójcie się, już ja się za wami wstawię i nie tylko pan Blum was nie orźnie, ale jeszcze od Naczelnika nagrodę dostaniecie. Wytropiliśmy szpiegów, ich papiery niesiemy, natłukliśmy Szwabów co niemiara i jeszcze by nas za to karać miano? Cóż by to była za sprawiedliwość! Szkoda tylko, że nam te Żydy uciekły.

– Ha! trudno! – ozwie się milczący dotąd Franek – że szkoda, to szkoda, ale inaczej być nie mogło. Przy tym mnie się widzi, że ich tam te kirasjery przez pomyłkę zarąbały na drodze, bo straszny był świst szabel, a potem krzyk.

– Może to być – odrzekł ksiądz – po nocy wszystkie koty szare. Ale jeżeli ich taki los spotkał, mają to, na co zasłużyli.

– Ja tylko żałuję – ciągnął dalej Franek – że tego raka kirasjera, co wskazał Prusakom, gdzie my stoimy w życie, na śmierć nie ubił.

– Ojjoj! – jęczał ciągle Wiertelewicz.

Ale przy tym maszerował żwawo na przedzie, dźwigając rażno kosę, karabin, patronasz i torbę z papierami.

– Mnie się widzi – zauważył ksiądz – że i ten zdrajca nie uszedł śmierci. Z pewnością go tam ułani zakłuli. Nie miał konia, uciekać ze swoimi nie mógł. Ani chybi zginął!

– Dobrze mu tak, niech z żydowskimi szpiegami konszachtów nie czyni!

Tak gawędząc, stękając dowlekli się do okopów, gdzie wszystko było na nogach, ognie gorzały, kononierowie z zapalonymi lontami stali przy działach, gotowość była wszelka. Na szczęście dla Tomka, który okrutnie się bał pana Bluma i myślał sobie, że nawet wstawienie księdza nic nie pomoże i baty będą w robocie, groźnego setnika nie było w reducie, bo mu niedawno dano znać, że jego dziecko zachorowało, więc wziął urlop i pojechał do Warszawy. Z tym wszystkim pan Heliglas, który był teraz najstarszy, aresztował zaraz naszych czterech zuchów i kazawszy ich chirurgowi opatrzeć, wysłał pod strażą do Marymontu, do kwatery księcia Józefa.

– Ojoj, ojoj! – jęczał Wiertelewicz – piękna mi nagroda. Tam ci panicze, co niby znają okolicę jak własną kieszeń, każą nas z pewnością rozstrzelać. Bo jakże to może być, żebyśmy, takie pacholki nędzne, znajdowali jakieś parowy, stawy i domy, o których adiutanci nie wiedzą. Ojoj! ojoj! coś mi jednak ten Szwab w brzuchu zrobił.

Ale wbrew przewidywaniom Wiertelewicza w kwaterze księcia z wielką ciekawością wysłuchano relacji czterech zuchów, pochwalono ich nawet bardzo i papiery przejrzano.

Książę Józef, gdy je przeczytał, uśmiechnął się swym słodkim i miłym uśmiechem i rzekł:

– Spisaliście się dzielnie. Papiery są bardzo ważne; dziękuję wam zuchy za to, coście zrobili. Zaraz zdam o wszystkim raport do Naczelnika i wasz czyn ogłoszę mojej dywizji w roz-

kazie dziennym jako czyn godny naśladowania. Mości panie Linowski, każ mi zaraz wsadzić tych trzech rannych zuchów na bryczkę, odesłać do szpitala do Warszawy i przykazać, by tam miano o nich pilne staranie.

Jakoż niedługo wygodna bryczka zajęchała i Wiertelewicz, Tomek i Franek usiedli w niej, by jechać do szpitala. Ksiądz Karolewicz pożegnał się z nimi mówiąc:

– Jedźcie chłopcy, wypocznijcie sobie i wyleczcie się. Jacuś, ty poproś siostrę miłosierdzia, żeby ci kazała gorący okład z kaszy zrobić na brzuch. To z pewnością cię wyleczy.

– Ej, ja bym wolał zjeść tę kaszę, bo mię aż mgli z głodu! – zauważył Tomek.

– Cebula jesteś! – oburzył się Wiertelewicz – on myśli o jedzeniu, kiedy mnie Szwab wszystkie kiszki z żywota wypruł.

– No, jedźcie już chłopcy i trzymajcie się dobrze, ja tam dziś jeszcze do was wpadnę.

– Albo ksiądz wie, w którym szpitalu nas pomieszczą? – spytał Franek.

– Wiem. W Pałacu Radziwiłłowskim. Będzie wam tam dobrze, jak w niebie. No! niech was Bóg prowadzi.

W rzeczy samej było im jak w niebie. Był to szpital czasowy, umyślnie urządzone dla wojskowych w ogromnym pałacu na Krakowskim Przedmieściu, należącym do ks. Radziwiłłów. Naszych zuchów umieszczono w wielkiej białej sali z kolumnami, na wygodnych czystych łóżkach, a opiekowały się nimi, pod przewodnictwem szarytki siostry Anastazji, same wielkie damy, wojewodziny, kasztelanowe, księżniczki i hrabianki. Jedzenia było w bród i jakiego jeszcze jedzenia! Toteż Tomek, wygłodzony jak wilk, pałaszował wszystko, w czym mu sekundował dzielnie Wiertelewicz, pomimo że go brzuch bolał i ciągle krzyczał: ojoj, joj! wymyślał też na kirasjera, który mu miał kiszki podrzeć. Wkrótce też koło południa nadszedł naczelnny lekarz, dr Bergonzoni, a za nim lekarz sztabowy pułku Działyńskich, dr Drozdowski, który obejrzał Wiertelewicza, wysłuchał jego relacji i klepiąc go po ramieniu, rzekł:

– Mój chłopcze, każę ci dwa kataplazmy z siemienia lnianego na brzuch położyć. Poleż sobie do jutra, wyśpij się dobrze, ale jutro marsz stąd! Miejsca nie można zabierać prawdziwym chorym.

Tomka zakwalifikowano na parę dni leczenia; jeden tylko Franek musiał dłużej pozostać, bo był najciężej ranny. Toteż opatrzone go starannie, aż sykał z bólu; obandażowano mu ramię, a wielkie damy w jedwabiach i koronkach biegały koło niego, jak koło jakiego księcia, cukierkami i pomarańczami karmiły, aż chłopak ze wstydu nie wiedział, jak dziękować.

Gdy się to wszystko skończyło, Wiertelewicz rzeknie:

– Tomek, dobrze ci tu?

– Pewnie, że dobrze.

– Widziałeś ty kiedy taką piękną izbę?

– Jak żyję, nie widziałem.

– Pamiętajże, cebulo jakaś, że to wszystko mnie zawdzięczasz.

Nad wieczorem wpadł do sali ks. Karolewicz rozpromieniony, uradowany, w nocnej amarantowej konfederatce na głowie.

– Jak się macie, chłopcy? – zawołał – czytaliście rozkaz dzienny?

– Jaki rozkaz dzienny? – spytał Franek.

– Co to jest rozkaz dzienny? – ozwał się Tomek.

– O sancta simplicitas! – zawołał Wiertelewicz – i ty, cebulo jakaś, nie wiesz, co to jest rozkaz dzienny? Zaraz ci to wytłumaczę, tylko dobrze nadstaw twoich, już nie powiem jakich, uszu. Słuchaj tedy...

– Mój Jacuś, zostaw to na później – przerwał ksiądz. – Skoro nie wiecie o rozkazie dziennym samego Naczelnika – rozumiecie chłopcy? samego Naczelnika! – to wam powiem. Ręczę, że to prędzej przyczyni się do waszego wyzdrowienia, niż wszystkie mikstury i dejfeldreki!

– To pewna – ozwie się Wiertelewicz – te doktory nic nie wiedzą. Mnie kazali kataplazmy z siemienia lnianego kłaść na żywot. Słychane to rzeczy!

– Otóż moi chłopcy – mówił dalej ksiądz – w dzisiejszym rozkazie dziennym Naczelnika jest opowiedziana cała nasza wyprawa, nasza walka z kirasjerami, zdobycie torby z papierami szpiegowskimi, wszystko! wszystko! I co wam powiem, każdego z nas po nazwisku Naczelnik wymienił.

– Jak to? i mnie, Jacka Wiertelewicza?

– I ciebie, Jacentego Wiertelewicza, i ciebie Tomasza Landikiera, i ciebie Franciszka Wiśniewskiego, i mnie, ks. Karola Karolewicza i nazwał nas bohaterami i wzorem, z którego cała armia przykład brać winna. Co więcej, powiem wam jeszcze... ale co to, beczycie?

Jakoż w rzeczy samej wszyscy trzej płakali z radości i tak głośno, że i ksiądz się za nimi rozplakał i poczęli się ścisnąć i całować.

– No! – mruknął Tomek – żeby mi Naczelnik teraz kazał samemu iść na Prusaków, to pójdę i będę ich rznął, że aż wióry polecą.

– Nie wszystko wam jeszcze powiedziałem – ozwał się w końcu ksiądz.

– Naczelnik kazał was przenieść do gwardii narodowej i teraz jesteście gwardzistami!

W odpowiedzi na to zagrzmiało w białej sali Radziwiłłowskiego Pałacu takie głośne: „Niech żyje Polska! Niech żyje Naczelnik!”, że siostra Anastazja wbiegła przerażona i wzdając okiem dokoła, pytała swym głosem cichym i miękkim:

– Co to? co to się stało?

ROZDZIAŁ XII

Jako obywatel Gugenmus, spełniając delikatną misję, oburzył się na podejrzenie, że zamiast tabaki używa ciemierzycy.

Nazajutrz wczesnym rankiem zjawił się niespodziewanie w białej sali Radziwiłłowskiego Pałacu imci Gugenmus, z harbajtlem w tyle w nowym worku atlasowym, w kapocie piaskowego koloru, w kamizelce amarantowej jedwabnej i takichże pludrach czarnych. Trzewiki ze srebrnymi sprzączkami błyszcząły mu od szuwaksu, a cienka szpada przy boku z porcelanową rękojeścią sterczała na kształt różna. Pod pachą niósł czarny stosowany kapelusz.

Wszedłszy uklonił się wszystkim dokoła cofając zręcznym ruchem prawą nogę za lewą; osobny, bardzo niski ukłon złożył znajdującej się wtedy na sali siostrze Anastazji; zarekomendował się:

– Jestem obywatel Gugenmus! mam tu interes do trzech gwardzistów, obywateli: Wiertelewicza, Lindikiera i Wiśniewskiego.

Siostra Anastazja spojrzała na niego swymi łagodnymi oczami, odwróciła się, przeżegnała nieznacznie i wskazując na trzech zuchów, rzekła:

– Tam są, proszę pana.

– Darujesz, czcigodna obywatelko – ozwie się na to z nowym szarmanckim ukłonem Gugenmus – że ci muszę zrobić jedną uwagę.

– Jakąż to? – spytała zdziwiona zakonnica.

– Taką, że nie jestem panem, tylko obywatelem. Nie ma teraz panów, tylko obywatele.

Siostra Anastazja spojrzała jeszcze raz na niego, ruszyła ramionami i rzekła swym głosem cichym:

– A, to mi tam wszystko jedno!

Po czym żwawo odeszła, zostawiając obywatela Gugenmusa na środku sali wciąż się kłaniającego. Wreszcie nasz wyelegantowany obywatel wyprostował się i ruszył wprost do trzech młodzieńców, którzy siedzieli przy oknie i przypatrywali się ruchowi ulicznemu poza wielkim dziedzińcem wjazdowym pałacu. Przyszedłszy do nich, Gugenmus znów się uklonił, ręką zrobił piękny ruch i wspinając się na palcach rzekł:

– Obywatele! obywatel Gugenmus przychodzi wam cześć oddać za wasze męstwo przypominające najpiękniejsze czasy starożytności.

Wiertelewicz zerwał się z miejsca i zaraz zawołał swym piskliwym głosem:

– A! jak się masz, panie Gugenmus! bardzo rad, że pana widzę. Co tam gadać o naszym męstwie. Napraliśmy trochę Szwabów, to prawda, ale cóż w tym dziwnego? Nie ma o czym mówić! Co tam słyhać, panie Gugenmus?

Przez cały czas mowy Wiertelewicza Gugenmus niecierpliwie się kręcił, machał jakby muchy odpędzał, wreszcie rzekł:

– Przepraszam cię, obywatelu gwardzisto, ale jakże możesz używać do mnie tytułu, który przypomina czasy niepowrotnie minione? To jedno, a drugie nie trzeba Prusaków nazywać Szwabami. Ja sam jestem z rodu Szwab, ale to wcale nie znaczy, żebym był Prusakiem. Prusacy, obywatelu, to jest mieszanina narodów, to wyrzutki, to pomiot najgorszych śmieci niemieckich i pogańskich.

Odetchnął i zwracając się do Tomka i Franka rzekł:

– Pozwólcie mi, obywatele, uścisnąć waszą dłoń bohaterską. Twoja babka, obywatelu Landikierze, jest bardzo ucieszona i bardzo dumna z twoich zasług dla ojczyzny, co mówię, dla całej ludzkości. Dziś zaproponuję gminie miejskiej na ratuszu, ażeby jej ofiarowano koronę obywatelską, niby drugiej matce Grakchów, za to, że tak dzielnego obywatela, jak ty, gwardzisto Landikierze, wychowała.

Mówiąc to ścisnął i potrząsał z godnością rękę Tomka, który zgoła nie wiedział, czego od niego chce ten zabawny i napuszony jak paw człowieczek. Tymczasem Gugenmus, skończywszy swą orację do Tomka, zwrócił się do Franka, który siedział z ręką na temblaku, owiązaną i obandażowaną i patrzył zdziwionymi oczami na całą tę scenę.

– Obywatelu Wiśniewski – zawołał Gugenmus – i tobie przychodzę hołd oddać. Ty byłeś najwaleczniejszym z walecznych, ty twoją krwią ludową przypieczętowałeś nową epokę. Warszawa, twe miasto rodzinne, dumna jest z tego, że takiego syna wydała. Mam zamiar wnieść na posiedzeniu gminy, ażeby w sali radnej umieszczono tablicę marmurową, na której, na wieczną rzeczy pamiątkę, wyryte będą dla potomności złotymi literami wasze nazwiska, obywatele!

To rzekłszy skłonił się pięknie, dobył złocistej tabakierki z kieszeni od kamizelki i po kolei poczęstował tabaką trzech chłopaków, przy czym sam zażył dozę potężną. Zaraz też wszyscy poczęli kichać i to tak głośno, że aż siostra Anastazja uchyliła drzwi i spytała:

– Co to? co się tu stało?

Uspokojona jednak widokiem generalnego kichania przymknęła drzwi, a Gugenmus mówił:

– Obywatele! przychodzę do was z delikatną misją.

– No, o co idzie? – spytał Wiertelewicz – ale niech też pana! Masz taką mocną tabakę, że aż wierci w nosie, tak jak mi wczoraj wierciło w brzuchu, kiedy mię ten łotr Prusak palnął... A hu! a hu! – kichał, wrzeszcząc przy tym swym cienkim głosikiem jak opętany.

– Obywatele! – mówił Gugenmus – mianowani zostaliście przez najdostojniejszego Naczelnika gwardzistami gwardii municypalnej. Zaszczyt to nie lada i wielu wam go zazdrości. Ale może nie wiecie, obywatele, że być gwardzistą municypalnym to...

– A hu! a hu! – kichał Wiertelewicz, a za nim Tomek i Franek.

– Bodajże cię, obywatelu, z taką tabaką. Ciężczycy czy kiego licha nam dałeś – mówił Wiertelewicz – a hu! a hu!

– Otóż obywatele – prawil dalej Gugenmus, pomijając milczeniem tak niegodny zarzut co do ciężczycy – być gwardzistą municypalnym jest rzeczą piękną, ale i kosztowną bardzo. Mundur trzeba sobie sprawić...

– Jak to! mundur? taki sam jak pan Rafałowicz, pan Blum i inni noszą?

– zapytał Tomek.

– Mój Tomku, przepraszam: obywatelu Tomaszu – ozwie się na to z wyraźną niechęcią Gugenmus – naucz się raz mówić jak należy. Nie ma żadnego pana Bluma, ani pana Rafałowicza, tylko są obywatele. Rozumiesz? o... by... wa... te... le!

– Rozumiem, rozumiem, ale ten mundur...

– Co się tyczy nowego munduru, to tak: musicie go sobie sprawić. Kurtka z cienkiego sukna granatowego, obszlegi amarantowe ze srebrnymi szlifami i takimże feldcechem; do tego pas biały i patrontasz srebrny. Kapelusz stosowany z piórem białym i karmazy nowym...

– O mój Boże, mój Boże! – począł Tomek klaskać w dłonie i skakać po sali – taki piękny mundur! Dopiero się to babka ucieszy, jak mię w nim zobaczy. I to prawda, panie Gugenmus, że ja taki mundur będę mógł nosić?

– A jakże inaczej? – wtrącił Wiertelewicz. – Przecie co ksiądz powiedział wczoraj, że Naczelnik zrobił nas gwardzistami. To ci dopiero cebula z tego Tomka!

– Wobec tego więc, obywatele – ciągnął dalej Gugenmus – że mundur gwardiacki jest tak kosztowny, ja ośmieliłem się zebrać składkę u kilku patriotów i oto przynoszę wam sześćdziesiąt obrączkowych dukatów, po dwadzieścia dla każdego z was, waleczni obywatele. Wszak przyjmiecie, wszak nie pogardzicie tą ofiarą płynącą z głębi serc naszych?

Tu Gugenmus przyłożył rękę do lewego boku, na oznakę, że tam jego serce bije, nachylił się i z najwyższym niepokojem na swej ruchliwej i poczciwej twarzy oczekiwał na odpowiedź trzech oniemiałych ze zdziwienia chłopców.

Pierwszy Wiertelewicz opamiętał się i rzekł z powagą, ukrywając radość, jaka go ogarnęła:

– Obywatelu Gugenmusie, ten dar patriotów przyjmujemy i dziękujemy!

Rozjaśniło się oblicze poczciwego Niemca, roztworzył szeroko ramiona i opuszczając tabakierkę, po kolei począł ścisnąć trzech chłopców tak gorąco, że aż Tomek syknął, bo go w twarz zranioną uraził. Ukończywszy ścisnięcie, Gugenmus żwawo sięgnął do kieszeni pluderków, wyciągnął z nich jedwabną zieloną sakiewkę i po kolei każdemu wyliczył na dłoni po dwadzieścia okrągłutkich dukatów.

– Spełniłem swoją misję – rzekł na koniec, podnosząc tabakierkę i zbierając do niej starannie rozsypaną tabakę – i bardzo z niej dumny jestem. A teraz, obywatele, pozwólcie mi usiąść, bo ze wzruszenia nogi mi osłabły.

Podsunięto mu krzesło, a on zażywszy potężną dozę tabaki, chciał nią trzech bohaterów znów poczęstować, ale mu jak najbardziej stanowczo odmówili,

– Może myślisz, obywatelu Wiertelewicz, że to jest ciężczyca? – rzekł. – Zdaje mi się nawet, żeś przed chwilą taką opinię wygłosił. Otóż muszę ci oświadczyć, że to jest najprawdziwsza tabaka francuska, tabaka rewolucyjna, nie żadna ciężczyca.

– Że rewolucyjna, to wierzę – odparł Wiertelewicz – bo prawdziwą rewolucję w naszych nosach zrobiła.

– A teraz – ciągnął dalej Gugenmus – udzielę wam, obywatele, nieco najświeższych nowin obiegających po Warszawie.

– Słuchajmy! słuchajmy!
– Wiedźcie tedy, że w papierach tak heroicznie przez was zdobytych mieściła się cała korespondencja niecnego Wolfa Heymana z ministrem pruskim Hoymem. Wolf donosił mu wszystko, co się dzieje w Warszawie, dawał nawet sposoby wzięcia naszego miasta. Wiem to od samego obywatela podkanclerzego, Hugona Kołłątaja, z którym bliską mam znajomość.
– A to łotr! – zawołał Franek – i cóż z nim zrobić?
– To, obywatelu, co się zawsze ze szpiegami robi.
To rzekłszy Gugenmus zrobił ruch koło szyi znaczący, że Wolf będzie wisiał.
– Dzisiejszej nocy go aresztowano. Dziś odbędzie się sąd, a jutro...
Powtórzył ten sam ruch i roześmiał się głośno.
– Słusznie mu się należy! – mruknął Wiertelewicz.
– Naturalnie, że słusznie. Taki jest zawsze koniec zdrajców. A teraz jeszcze jedna nowina. Obywatel komendant miasta, generał Orłowski a mój przyjaciel, powiedział mi wczoraj, że od dezertorów zbiegłych z wojska pruskiego dowiedziano się, że król pruski zamierza najprzód atakować Wolę i wydał dekret, ażeby po jej zdobyciu nazwać ją Luisenburg! Obywatel Orłowski dziś jeszcze obejmuje komendę na Woli. Dadzą oni z Naczelnikiem Prusakom Luisenburg!
Powiedziawszy to obywatel Gugenmus roześmiał się głośno, wstał, strzepnął delikatnie z żabotów rozsypaną tabakę i uklonił się z wielką gracją, mówiąc:
– Do widzenia, obywatela gwardziści! niech żyje Naczelnik! niech żyje Polska! – i wyszedł z sali w lansadach i ukłonach pełnych galanterii.

ROZDZIAŁ XIII

W którym jest mowa o uchu Tomka, o pragnieniu Wiertelewicza i o czapce księdza.

Upłynęło kilkanaście dni, w czasie których Prusacy dokoła otoczyli Warszawę, strzelali z armat i ciągle potyczki staczali z obrońcami miasta. Frankowi Wiśniewskiemu okropnie się przykrzyło w szpitalu; siedział po całych dniach przy oknie, nad słuchując dalekiego huku dział, wpatrując się w dziedziniec, na który ciągle wjeżdżały bryczki i wozy z rannymi. Cała biała sala była teraz nimi przepelniona.

– Tam się biją – mówił sobie – a ja tu siedzę jak baba i marcepany zajadam. Bodaj to siarczyste!...

Nudził się i niecierpliwił tym więcej teraz, że jego dwaj towarzysze, Wiertelewicz i Tomek, od dawna opuścili szpital. Wiertelewicz, któremu właściwie nic nie było, jeszcze tego samego dnia, w którym odwiedził ich obywatel Gugenmus, wyruszył z Pałacu Radziwiłłowskiego.

– Moje chłopaki – mówił zabierając się do wyjścia – wy tu jeszcze posiedzicie jakiś czas, trzeba więc, żebym się zajął sprawieniem dla was mundurów gwardiackich. Znam ja tu pewnego krawca, obywatela Paradowskiego, który jest nawet jakiś tam mój krewniak, bo trzeba wam wiedzieć, że moja matka była Paradowska de domo; otóż tedy pójdę do niego i pogadam

z nim o tych mundurach, a ręczę, że nam taniej zrobi niż inni majstrowie szlachetnego kunsztu krawieckiego. Pojmujecie to, jak ja się dla was poświęcam?

Roześmiał się i przypasując do boku szablę zdobytą na kirasjerach pruskich ciągnął dalej:

– Imci pan Paradowski, a raczej, żeby nie obrażać poczciwego Gugenmusa, obywatel Paradowski, przyśle tu do was czeladnika swego, jeżeli ma takiego, bo zapewne wszyscy są na okopach, żeby wam miarę wziął i będziecie mieli takie piękne mundury, że klękajcie narody. Cóż, dobrze?

– To się wie, że dobrze – ozwie się na to Tomek i dodał nieśmiało, jękając się, cały czerwony jak piwonia – tylko... uważasz Jacuś... żeby ten mundur mógł być jak najtaniej, bo ja bym chciał... uważasz... tak ze trzy chociaż dukaty... uważasz... dać babce...

– Uważam, uważam i nie masz się czego czerwienić jak dziewczyna. Dobry jesteś chłopak i podobasz mi się, chociaż cebula.. No! no! bądź spokojny, już ja Paradowskiego – a! przepraszam – obywatela Paradowskiego tak wycisnę, że musi mundury zrobić po 15 dukatów, będziesz więc miał co dać babce. Zajrzę ja tam do niej i powiem jej o tobie, żeś... cebula!

Roześmiał się głośno, przyłożył rękę do czapki po wojskowemu i wyszedł, a spotkawszy na schodach siostrę Anastazję cupnął ją ustami w rękaw i wyszedł na ulicę.

Wiertelewicz dotrzymał słowa. Krawiec Paradowski uszył trzy piękne mundury, wprowadzie nie po piętnaście, ale po szesnaście dukatów i babka Tomka dostała w podarunku od wnuka cztery piękne, obrączkowe sztuki złota. On sam wyszedł wkrótce ze szpitala wygojony zupełnie i od kilku dni razem z Wiertelewiczem i księdzem franciszkaninem bronią uparcie szanca wolskiego.

Jeden tylko Franek siedzi ciągle w lazarecie i nadśluchuje dalekiego i ponurego huku dział. Doktor Drozdowski, który mu opatruje ramię, powiada, że lada dzień, może jutro, może pojutrze, pozwoli mu wyjść, bo ramię jest już na zagojeniu, ale tymczasem trzeba siedzieć, patrzeć, nudzić się i wsłuchiwać w grzmot armatni.

A właśnie dzisiaj, dnia 27 lipca, od samego świtu huk dział wzmógł się niesłychanie i przywożeni do szpitala ranni powiadają, że Prusacy, pod wodzą samego ich króla, ogromnymi siłami atakują Wolę, że ogień jest straszny, ale nasi z generałem Orłowskim na czele trzymają się dzielnie i bronią uparcie, a, da Bóg, obronią.

Frankowi aż płakać się chce na myśl, że inni: Tomek, Jacuś, ks. Karolewicz biją się z Prusakami, a on tu musi siedzieć beczynnym jak piecuch jaki. Dzień był niesłychanie upalny i w całym szpitalu ruch i rejwach był ogromny, bo dużo przywożono rannych, którzy językiem i krzykiem napelniali ogromny Pałac Radziwiłłowski. Ale koło wieczoru huk ustał i rozeszła się, nie wiadomo przez kogo przeniesiona wieść, że Prusacy Wolę wzięli, armaty zdobyli i trzydziestu jeńców do niewoli zabrali.

Franek na wiadomość tę myślał, że trupem padnie.

– Ale to nie może być – wołał – to łgarstwo, to najoczywistsze łgarstwo! Gdzieżby znowu nasi dali sobie wziąć Wolę? Cóż to? nie było Naczelnika, wojska, straży, gwardii municypalnej? Nie, to nieprawda!

Ale wieczorem zjawił się doktor Drozdowski, rzucił okiem na Franka i zawołał:

– Mości gwardzisto, choć nie jesteś zupełnie wygojony, ale już jest na tyle dobrze, że możesz miejsca ustąpić innym. Mamy bardzo dużo rannych...

– Doktorze, czy to prawda, że Prusacy wzięli Wolę?

– A wzięli, cóż robić? – i pobiegł za siostrą Anastazją, która go wzywała do jakiegoś biedaka z nogą strzaskaną przez kulę armatnią.

Franek połykał łzy z gniewu, wstydu i żalu, zabrał swój piękny mundur gwardiacki, przypasał szablę kirasjerską do boku, zarzucił karabin na ramię i wyszedł. Zmrok już zapadał i było po upalnym dniu nadzwyczaj parno, niebo zaciągało się chmurami i widocznie zanosilo się na burzę. Na ulicach ruch i wrzawa była ogromna. Przeciągały wozy z rannymi, których

odwożono do szpitali urządzonych w Pałacu Radziwiłłowskim, w Pałacu Ogińskich, w Teatrze Narodowym; gwardia municypalna i straż obywatelska przeciągały, mnóstwo wojska się kręciło, słowem, ruch był wielki. Kto żył, wyległ na ulicę, by się dowiedzieć, co słytać, a z dala na horyzoncie widać było krwawą lunę. To gorzało przedmieście. Czyste, przez bomby pruskie zapalone.

Franek, wstrząśnięty do głębi tą sceną, osłabiony trochę swą raną, zatrzymał się, oparł o jednego z kamiennych lwów strzegących wejścia na dziedziniec pałacowy i patrzył na ten ruch, na tę wrzawę i nieład, a łzy mu z rozpacz i gniewu ciurkiem ciekły po twarzy. Ach! czemuż jego tam nie było! czemu ciałem swoim nie zawałił Prusakom drogi do Woli! Był przekonany, słytał to od wielu w lazarecie, że już teraz Warszawa, utraciwszy główny swój szaniec, nie obroni się i będzie się musiała poddać Prusakom. Nie! to być nie może, on tego nie przeżyje!

Powoli jednak uspokoił się i nabył tej pewności przypominając sobie położenia okopów, że pomimo wzięcia Woli Prusacy nie tak łatwo będą mogli dostać się do Warszawy. Byle obrońców starczyło! No a tych przecie nie zabraknie. On sam z Tomkiem, Wiertelewiczem i księdzem oraz innymi również ojczyznę miłującymi także są coś warci i także potrafią dobrze dokuczyć Prusakom.

Ale gdzie szukać tych towarzyszy, których od dwóch dni nie widział, dokąd się teraz udać w nocy?

Kiedy tak rozmyśla i waha się i nie wie, co robić, nagle dochodzi go piskliwy krzyk Wiertelewicza:

– O wilku mowa, a wilk tu! Jak się masz Franek?

Franek podniósł oczy i ujrzał ich wszystkich trzech przed sobą. Stali brudni, czarni od prochu i dymu, okrwawieni, w okurzonych i zawałanych a tak pięknych niedawno mundurach, ksiądz jak zwykle z gołą głową, bo znów gdzieś czapkę stacił, Tomek owiązany jakąś zakrwawioną szmatą, zmęczeni, ogorzali, mimo to rześcy, zwłaszcza Wiertelewicz. Wyciągnęli ręce czarne, ściskali nowego towarzysza, a ksiądz rzekł:

– My tu po ciebie przychodzimy, chcieliśmy cię zabrać, ale to lepiej, że cię już wypuszczono ze szpitala.

– Jak się macie? skąd idziecie?

– Skądżeby? z Woli.

– I Prusacy wzięli Wolę?

– A wzięli – rzekł smutnie Wiertelewicz – nie nasza wina. Biliśmy się, ale nas było mało, a ich straszna kupa. Lazło to bestyjstwo na szanice jak robactwo, opędzić się nie można było. Widzisz, co zostało z naszych mundurów?

I oglądając się dokoła dodał:

– Okrutnie mi się pić chce. Gorąco tam było na Woli i spiekłem się jak rak. Żeby tu skąd wody dostać!

– Ale jakże to było? opowiedzcież mi wszystko! – nalegał Franek.

– A czy my wiemy, jak było. Biliśmy się, aż nas pobito. Księdzu, jak widzisz, kula znów czapkę zerwała...

– I znów chodzę z gołą łepetyną i muszę znów kupić czapkę. Co te hultaje Prusaki nam zawsze biedy narobią! Mało im swego kraju, muszą bestie i do nas leżeć!

– Tomkowi – prawil dalej Wiertelewicz – jakiś oficer pruski pałaszem, jak Malchusowi, uciał ucho, dlatego ma głowinę owiązaną. Teraz biedak chodzić będzie taki oszelmowany. Wprawdzie ów oficer gorzej na tym wyszedł, bo mu Tomek bagnet calusieńki w brzuch wpakował i pewno żadne kataplazmy z siemienia lnianego nic mu już nie pomogą. Oto wszystko – więcej nic nie wiemy. Ojoj! joj! jakże mi się pić chce, zgaga mię pali gorzej ognia pruskiego.

– A tobie nic? – spytał Franek.

– A nic. Nawet w brzuch mię żaden kirajser nie palnął. Kule co prawda świstały jak osy, ale żadna mnie nie tknęła. Złego licha nie weźmie i widzi mi się, że ja od Prusaków nie zginę. Ach, jakże mi się pić chce!

– Jacuś, opowiedziałeś wszystko, coś wiedział – wtrącił ksiądz, zasłaniając ręką gołą głowę, bo się pod wieczór silny wiatr zrywał i całe chmury kurzu na źle brukowanych lub wcale niebrukowanych ulicach unosił – teraz trzeba pomyśleć o tym, gdzie by się można o naszych sprawach rozmówić z Frankiem, a nade wszystko znaleźć kąć spokojny, gdzie byśmy się mogli posilić i wyspać.

– Najważniejsza rzecz – odpowie Wiertelewicz – żebyśmy się mogli czego napić. Gębę mam całą zapchaną piaskiem i prochem, a zgaga mię piecze gorzej od kul szwabskich.

Stękał i oglądał się przestępując niecierpliwie z nogi na nogę.

– Ja sam nie wiem, dokąd iść – rzekł smutnie Franek – kazali mi wynieść się z lazaretu i nie mam gdzie głowy skłonić. Pójdę chyba do majstra na Rybaki.

– Głupstwo! – rzekł ksiądz – jesteś nam potrzebny, musimy się naradzić. Ja mam projekt, o którym trzeba pogadać. Rozdzielać się nie możemy.

Tomek stękał, bo mu dokuczało obcięte ucho, a Wiertelewicz ciągle wygłaszał swoje:

– Jakże mi się pić chce!

Ksiądz przez chwilę milczał, namyślając się widać nad czymś, wreszcie podniósł głowę i zawołał:

– Mam!

– Co ksiądz masz? może piwo?

– Ej, ty tam zawsze o swoim. Ale będzie i piwo, i jedzenie, i dach nad głową, i dobra rada, a może nawet pomoc. Wiecie chłopcy, dokąd pójdziemy?

– No?

– Do Gugenmusa. Do niego pójdziemy. Mieszka stąd niedaleko na ulicy Piwnej. Sam jest kawaler, przyjmie nas po królewsku.

– Teraz mówi się nie po królewsku, ale po obywatelsku! – przekomarzał się Wiertelewicz.

– A więc w drogę, marsz! – komenderował ksiądz.

ROZDZIAŁ XIV

Jak Gugenmus rozplakał się, słuchając melancholijnej muzyki poloneza.

Szli przez Krakowskie Przedmieście napelnione ludem wzburzonym, krzyczącym, domagającym się głośno broni, wołającym o zdradzie i zdrajcach. Zdobycie przez Prusaków Woli zrobiło silne na wszystkich w mieście wrażenie, a choć rząd ogłaszał, że to w niczym nie zagraża Warszawie, nie chciano temu wierzyć, narzekano, że ich oszukują. Na wąskim Krakowskim Przedmieściu niejaki Konopka, znany wszystkim w mieście, wlażł na stół wyniesiony z sąsiedniej winiarni wprost kamienicy Wasilewskiego i perorował zawzięcie. Tomek i Franek chcieli się zatrzymać, by go posłuchać, ale ksiądz i Wiertelewicz pociągnęli ich dalej.

– To kreatura księdza podkanclerzego Kołłątaja – mówił ksiądz – co nam do tego, co on tam prawi. Szkoda na to czasu, my mamy ważniejsze przed sobą sprawy, niż słuchać takich gadułów.

– To pewna – odezwał się Wiertelewicz – znam tego jegomościa. To Konopka, semper pius zawołany. Ale śpieszmy się, bo omdleję z pragnienia.

Przed Zamkiem Królewskim, przed Bramą Krakowską także znajdowały się ogromne masy ludu. Brama była zamknięta i straż przy niej trzymała gwardia municypalna. Tutaj inny mówca, słynny w całej Warszawie pod nazwą Baraniego Kozuska, obdartus w butach wykoślawionych, w kontusinie zaplamionej szpetnie, ale z ogromną szablicą przy boku i pistoletami za pasem, wdrapał się na podstawę Zygmuntońskiej kolumny, a trzymając w rękę maleńką gilotynkę pokazywał ją ludowi i ochrypłym głosem krzyczał:

– Obywatele! o! obywatele, dopóki to narzędzie zbawcze, które wam tu okazuję, nie zacznie działać, dopóty nie będzie dobrze, przysięgam wam, że nie będzie dobrze.

Wiertelewicz popatrzał na mówcę i rzekł:

– Kiedy słucham tego pijaka, to mi się jeszcze bardziej pić chce. Chodźmy; prędko.

– Byliśmy tylko Gugenmusa zastali w domu – zauważył ksiądz – bo to on w takich burzliwych chwilach lubi się włóczyć po mieście i nowinki zbierać.

Przez gęste tłumy ludności i najrozmaitszych obdartusów, którzy wylegli ze wszystkich zaułków miejskich, trudno się było przecisnąć. Na szczęście zaczął padać deszcz rześisty, najlepsze lekarstwo na wszelkie wzburzenia ludowe, i tłumy poczęły rzednąć, dzięki czemu czterej stękający gwardziści dostali się na ulicę Piwną, w której przechodniów było niewiele, a i ci, co byli, żwawo uciekali przed wzmagającą się ulewą.

Gugenmusa zastali, gdy wchodził do swego domu i otworzywszy kluczem furtkę już ją miał zamknąć, gdy Wiertelewicz, który to dostrzegł z daleka, dopadł i powstrzymał wołając:

– Obywatelu Gugenmusie, zaczekaj, zaczekaj, to my!

Obywatel Gugenmus strwożył się, bo przy całej swej zapalczywości patriotycznej był gołębiego serca, tym więcej, że w obszarpanym, czarnym i brudnym chłopaku nie poznał Wiertelewicza.

– Kto to? co to? – wołał – czego aspan chcesz?

– Ja nie żaden acpan, tylko obywatel Wiertelewicz.

– A! Wiertelewicz, co widzisz! i ksiądz Karolewicz i Tomek i Franek! Obywatele, a wy co tu robicie?

– Wracamy z Woli, poranieni, głodni, spragnieni i przyszliśmy szukać u ciebie, obywatelu, pomocy i posiłku – rzekł ksiądz – oraz dachu nad głową, bo moją obnażoną łepetynę deszcz smaga nielitościwie.

– Obywatele! – zawołał na to Gugenmus – wdzięczny wam jestem, żeście sobie w potrzebie przypomnieli o starym mechaniku. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, by Gugenmus odmówił dachu i posiłku walecznym obrońcom ojczyzny. Proszę za mną, a śpiesznie, bo drzwi chcę zamknąć. Czasy są burzliwe i niepewne.

Weszli więc do wąskiej i ciemnej sieni, w której nic dostrzec nie można było i czekali, aż Gugenmus ukończy zamykanie, które się dość długo, ze zgrzytem i trzaskiem odbywało. Gdy na koniec gospodarz przekonał się, że nikt z zewnątrz do jego domu dostać się nie może, rzekł:

– Poczekajcie, obywatele, zaraz światło zapalę!

Wyszukał we wgłębieniu ściany hubki i krzesiwa, skrzesał ognia, przytknął do niego trójkątny papierek umaczany w siarce, a gdy płomień buchnął, zapalił ogarek stoczka i przy jego niepewnym, migotliwym blasku najpierw wszystkich zebranych obejrzał, potem poszedł do bramy, jeszcze raz starannie się przekonał, czy ją dobrze zamknął i dopiero wtedy rzekł:

– A teraz proszę za mną, obywatele. Pójdę przodem, żeby wam poświecić i drogę wskazać.

Ruszył spadzistymi, wąskimi i wydeptanymi mocno schodami na pierwsze piętro; tu nowym kluczem otworzył drzwi, wpuścił z szarmanckim ukłonem czterech gwardzistów przodem, potem sam szedł za nimi, drzwi starannie zamknął i rzekł:

– Teraz, obywatele, jesteście u siebie!

Mieszkanie składało się z trzech izb, z których dwie miały okna na ulicę, a jedna na małe, wąskie i ponure podwórze. Izby były silnie sklepione, zastawione mnóstwem zegarów wiszących i stojących, które szły i szmerem swego tik-tak napelniały martwą ciszę tych izb smutnych i ponurych. W jednej z nich tuż pod oknem mieścił się duży warsztat zegarmistrzowski zarzucony narzędziami i kółkami mosiężnymi wszelkiej wielkości i kształtów, w ostatniej stało pod ścianą wielkie łoże staroświeckie, wypełnione betami aż pod sufit i zakryte piękną jeszcze, choć spłowiałą mocno kotarą adamaszkową purpurowej barwy. Gdy nasi gwardziści weszli do największej izby środkowej, wszyscy mocno znużeni, padli zaraz na krzesła staroświeckie z wysokimi poręczami, a Gugenmus zapaliwszy od stoczka parę świec woskowych nareszcie odezwał się:

– Rozgośćcie się, obywatele, zaraz zawołam moją starą gospodynię, by nam jeść i pić dała i posłanie dla was przygotowała. A tymczasem tu jest szkatułka grająca. Nakręcę ją i zabawiacie się słuchając jej pięknej melodii. Ja sam Ją sporządziłem.

To rzekłszy schwycił z kąta niewielką szkatułkę, ustawił ją ostrożnie pod oknem, nakręcił i zaraz rozległy się ciche, nikłe, jedwabiste, pełne niewypowiedzianej melancholii tony modnego wówczas poloneza. Przez chwilę twórca jej stał, wsłuchując się w tę łzawą, tęskną, urywającą się ciągle melodię z zachwytem na swej pocziwej, nerwowej twarzy, ale nagle przetarł czoło, zerwał się, pobiegł do sąsiedniej izby i uchyliwszy okna wołał ze wszystkich sił:

– Kacprowa! obywatelka Kacprowa, proszę tu do mnie na górę!

Niebawem zjawiła się w izbie mała, niska, ale niezwyklej tuszy kobieta, ubrana z waszecia, ale z wyrazem surowości na twarzy i obrzuciwszy bystrym wzrokiem obecnych rzekła opryskliwie:

– Czego jegomość chce? Już widzę, że jegomość nazbierał znowu po mieście jakichś oberwańców.

– Ale moja obywatelko, tylokrotnie cię prosiłem, byś mnie nie nazywała jegomością.

– Ja ta inak nie potrafię. No, co to gadać po próznicy. Czego jegomość chce? Cóż to, czy ci oberwańcy tu spać będą? Zaśmiecą mi całe mieszkanie.

W tejsze chwili spostrzegła księdza Karolewicza i od razu zmieniła ton. Pocałowała go w rękę i przeproszała, że nie widziała. Zaraz też zrobiła się inna. Zakrzętała się co żywo, naznosiła zimnego mięsiwa, chleba, masła, sera, nawet dwa plastry miodu, piwa kilka butelek, widocznie rada była.

– Dobra kobieta – mówił Gugenmus – tylko szorstka nieco, ale bardzo dobra.

Na koniec Wiertelewicz ugasił pragnienie; odetchnął głęboko i zabrał się do jedzenia.

Wszyscy, prócz Franka, który głodny nie był, pałaszowali, aż im się uszy trzęsły, z wyjątkiem oczywiście Tomka, któremu jedno tylko ucho trząść się mogło, bo drugie zostawił na Woli. Tym nieszczęśliwym uchem, które krwawiło mocno, zajęła się zaraz pocziwa Kacprowa, obwiązała, obmyła, przyłożyła jakiejś maści na czystym płótnie, słowem: opatrzyła ranę, jak mogła najlepiej. Tomkowi znacznie to ulżyło i najadłszy się zaraz poszedł spać do pierwszej izby, gdzie Kacprowa naznosiła sienników, słomy i poduszek co niemiara. Wkrótce zasnął snem kamiennym i nie słyszał wcale poważnej narady, jaka się toczyła w izbie sąsiedniej.

Tu, gdy wszyscy najedli się do syta i gdy obywatel Gugenmus poczęstował ich tabaką, od której Wiertelewicz kichał wniebogłose, nie wspominając już z obawy obrażenia gospodarza o ciemiężycy, ksiądz Karolewicz zagał w ten sposób rozmowę:

– My tu do ciebie, obywatelu, oprócz znalezienia schroniska, zaszliśmy w sprawie o wiele ważniejszej, dotyczącej losów naszej nieszczęśliwej Woli.

– Obywatelu księżo! – zerwał się Gugenmus, otrzepując żaboty z tabaki – nie mów tak. Wiem, żeście walczyli jak lwy, tak, dobrze powiedziałem, jak lwy, i jeżeliście ulegli, to tylko

przemocy. Ja to wszystko wiem, bo ja o wszystkim wiem. Cóż ja mam teraz robić? Za stary jestem, bym mógł w waszych szeregach walczyć, czeladnicy mnie opuścili i dobrze zrobili, bo, obywatelu, gdy zegar dziejowy wydzwania losy wielkiego kraju, nie czas myśleć o innych zegarach. Nakręcam je tylko... wszystkie idą równo... poczciwe zegary...

– Otóż obywatelu – przerwał ksiądz ten potok słów – sprawa, w której przyszliśmy...

– Zaraz! zaraz, obywatelu kapłanie – trzepał się Gugenmus – nim zaczniemy mówić o sprawach ogólnych, trzeba odpowiednio nastroić ducha. Pozwólcie, obywatele, niech nakręcę moją szkatułkę.

I skoczył do szkatułki stojącej pod oknem, nakręcił ją i w ciszy tej starej, średniowiecznej, mrocznej izby, po kątach której tłukły się ponure cienie, rozległy się te same ciche, rzewne, łkające tony poloneza...

Wszyscy umilkli i słuchali, a po pełnej zmarszczek twarzy Gugenmusa łzy, jedna za drugą, płynęły...

ROZDZIAŁ XV

W którym jest mowa o Woli i o ślepej latarce obywatela Gugenmusa.

Kiedy ucichły ostatnie rozplakane tony poloneza, ksiądz, którego natura prosta i wcale nie poetyczna nie odczuwała poezji leżącej w tej muzyce, w tym otoczeniu i w tej chwili, rzekł:

– Otóż tedy, przyszliśmy tu do ciebie, obywatelu Gugenmusie, na radę.

Gugenmus, otrząsając się z wrażenia, jakie na nim wywarła muzyka melancholijnego poloneza, rzekł na to:

– Jeżeli mój rozum na co się przyda i moje długoletnie doświadczenie, to gotów jestem służyć radą i pomocą, o ile mię stać na to będzie.

I wsłuchując się w coś, jakby chwycił uchem przebrzmiałe już tony poloneza, rzekł głosem stłumionym, jakby do siebie:

– Jaka cisza, aż w uszach dzwoni!

Ksiądz tymczasem mówił dalej:

– Idzie tu o Wolę, którą Prusacy dziś nam z rąk wydarli. Wprawdzie drogo ich to kosztowało, ale swego zamiaru dokonali. Wiem, bom słyszał nieraz od różnych znawców rzemiosła wojskowego, że Wola to klucz do Warszawy, że kto ma Wolę, to ma i Warszawę.

– Ojoj! ojoj! – zawołał Wiertelewicz – mnie się to nie widzi. Prusacy mają Wolę, to prawda, ale pewnie zjedzą licha, nim będą mieli Warszawę.

– Tu nie o to idzie – odparł na to ksiądz – co się tobie widzi lub nie, ale o to, co mówią ludzie mądrzejsi od ciebie i znający swą sztukę.

– Słuszna uwaga – wtrącił Gugenmus – ale obywatel Wiertelewicz miał na celu, nie, że tak powiem, krytykę zdania ludzi mądrzejszych, ale pragnął jedynie dać wyraz swemu męstwu i patriotyzmowi, który raczej pozwoli zagrzebać się w murach Warszawy...

– Nie przerywajcież mi, do kroćset! – zawołał ksiądz widocznie zagniewany – bo nie skończę dzisiaj. Późno już jest, a my jesteśmy zmęczeni i potrzebujemy spoczynku.

– I to słuszna uwaga – rzekł Gugenmus zakładając ręce na piersiach – słuchamy!

– Otóż z wzięciem Woli – mówił ksiądz – grozi niebezpieczeństwo Warszawie i niewątpliwie Naczelnik przemyśla nad tym, żeby albo Wolę na powrót odebrać, albo też w jaki inny sposób zabezpieczyć miasto; odbierać nie sztuka, byle tylko było czym; ale to, na co ja dziś patrzałem, przekonało mnie, że nie ma kim ani czym uderzać na Wolę, do której Prusaków napakowała się moc ogromna. Co tam gadać! nasi żołnierze i nasze straże obywatelskie były się dzisiaj jak ostatnie gałgany! Każdy tylko spoglądał za siebie, myśląc o jak najprędzej ucieczce z zagrożonego stanowiska. Prawda, Jacuś?

– Juźcić co prawda, to prawda. Nasi lichy się dzisiaj bili, ale to dlatego, że co mężniejsi już poginęli, została jeno sama hołota.

– Czymże tu więc zdobywać Wolę, gdzie Prusacy napakują wojska jak mrowia, okopy w szańcach naprawią, armat nastawiają... czym tu brać taką fortecę?

Wszyscy milczeli, słuchając w przygnębieniu ducha rozpaczliwego poglądu na rzeczy franciszkanina. A on ciągnął dalej:

– Nie wiem, co tam Naczelnik postanowi, ani jak sobie poradzi. W radzie jego nie zasiadam, zresztą radzić bym mu się nie ośmielił... Wie on lepiej od nas, co potrzeba. Uważam jednak, że skoro Wola jest tak ważnym punktem, to należy Naczelnikowi dopomóc. Idzie tylko o to, jak?

– Właśnie o to idzie! – zauważył Gugenmus.

Ksiądz napił się nieco piwa i tak dalej mówił:

– Jest nas wprawdzie czterech zuchów, którzy się samego diabła nie ulęką i jeżeliby Naczelnik kazał nam czterem iść na zdobycie Woli, to pójdziemy i polegniemy co do jednego. Prawda, chłopcy?

– Ojoj joj! co nie ma być prawda! – odrzekł Wiertelewicz.

– To się wie, żeby tak było! – zauważył Franek.

– Otóż, moi chłopcy, czterech zuchów to zawsze coś znaczy i jakeśmy swego dokonali, wyszedziwszy szpiegów, którzy właśnie, jak wiem, dostarczyli Prusakom całego planu Woli i przez to ułatwili jej wzięcie...

– No, ten Wolf Heyman już został powieszony. Byłem obecny na tej egzekucji – wtrącił Gugenmus.

– My we czterech – ciągnął dalej ksiądz, nie zważając na tę przerwę – oczywiście Woli odebrać Prusakom nie możemy, ale możemy ją zniszczyć tak, że z punktu tego korzystać nie będą mogli. Czy rozumiecie mnie?

– Ojoj joj! czemu nie? choć bardzo ja tam nie rozumiem, o co idzie – rzekł Wiertelewicz.

– Racz, obywatelu księżo, jaśniej się wytłumaczyć – dodał Gugenmus.

– Zaraz się wytłumaczę. Cała Wola i to, co objęte szańcami, składa się z drewnianych budynków wysuszonych przez upały ostatnie. Cóż byście powiedzieli, gdybyśmy tak podpalili Wolę i tym sposobem pozycję tę zniszczyli?

Na te słowa Wiertelewicz zerwał się na równe nogi i nuż krzyzczyć:

– Wiwat! niech żyje ksiądz Karolewicz. To mi pomysł! to słowa! wiwat!

Krzyczał tak, że aż Tomek się obudził w pierwszej izbie i wstał, a wściubiwszy głowę we drzwi pytał:

– Co to się stało? Jacuś, czego ty się tak drzesz?

Uspokojono przecie Jacusia uwagę, że godzina jest spóźniona i na wąskiej ulicy Piwnej takich krzyków po nocy wyprawiać nie należy, a ks. Karolewicz rzekł:

– Już przy sprawie ze szpiegami powiedziałem ci, Jacusiu, że tylko zachowanie sekretu może doprowadzić rzecz do skutku i dzięki jedynie, żeśmy język trzymali za zębami, udało nam się Żydów złapać na gorącym uczynku. To, co teraz zamierzamy uczynić, jest nie mniej ważne, bodaj czy nie ważniejsze i także wymaga wielkiej tajemnicy. Krzyki więc twoje są

zgoła niepotrzebne i mogą na nas zwrócić uwagę, czego unikać należy. Wszak mam rację, obywatelu Gugenmusie?

– Najzupełniejszą, obywatelu księżu!

Wiertelewicz, zgromiony w ten sposób, usiadł jak niepyszny i mruknął:

– No, już nic nie powiem.

Ksiądz napił się znowu piwa i mówił:

– Mam ja jeszcze jedną myśl, ale tę będzie bardzo trudno wykonać.

– Jakaż to myśl, obywatelu? – spytał Gugenmus.

– W szańcu Wolskim jest sklep z prochem; gdyby się udało ogień tam podrzucić, cały szaniec z Prusakami wyleciałby w powietrze.

Usłyszawszy to Wiertelewicz znów się zerwał i widocznie miał ochotę jeszcze raz krzyknąć: wiwat!, ale go powstrzymał surowy wzrok księdza. Usiadł więc na krześle i nachylając się szepnął:

– Ja wiem, gdzie jest ten sklep.

– Wiesz? naprawdę wiesz? – spytał ksiądz z widocznym wzruszeniem.

– Ojoj joj, cały szaniec znam lepiej niż własną kieszeń. Sklep ten znajduje się w reducie od strony północnej i przystęp do niego łatwy.

– Jak to łatwy?

– A tak, że pod sam szaniec ciągną się ogrody, które zasłaniają wszystko. Dziś przecie Prusacy od tamtej strony główny szturm przypuścili i razić ich było trudno, bo drzewa ich osłaniały. Nic łatwiejszego, jak tamtędy podkraść się do sklepu. Żeby tak o co, jak o to.

– I podjąłbyś się tego, żeby się zakraść do sklepu i ogień podłożyć? – spytał ksiądz.

– Czemu nie? Jak trzeba, to trzeba. Wysadzę Prusaków w powietrze, a oczywiście i sam z nimi wylecę. Ale to trudno, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

– Dlaczegoż i tym masz wylecieć?

– A jakże może być inaczej? Choćby mię nawet Prusacy nie spostrzegli i nie zabili, to jakże ucieknę, kiedy po podrzuceniu ognia prochy się zaraz zapalą?

– Nie, ty mię Jacuś nie rozumiesz – odrzekł ksiądz – przecież żywego ognia podrzucać nie możesz, to by było do niczego. Trzeba przygotować dobrze nasycony siarką i saletrą lont i ten wetknąć w beczkę z prochem, a potem zapalić. Nim ogień dojdzie do prochu, ty będziesz już daleko.

– Hm! i to prawda – odezwał się Wiertelewicz – że mi też to od razu do głowy nie przyszło! Oczywiście, że tak będzie najlepiej i Prusaków wysadzę w górę, aż miło!

Zacierał ręce z radości i śmiał się głośno.

– Tylko, uważasz, Jacuś, mnie się zdaje, że nie tak to łatwo będzie dostać się do sklepu. Opowiedz no, jak to tam jest i jak ty myślisz to zrobić?

– To tak jest: od strony północnej w szańcu jest loch podziemny, wymurowany, a w tym lochu są prochy. Widziałem przecież to wszystko, jak robili miesiąc temu i wczoraj jeszcze w czasie bitwy chodziłem tam parę razy i w połach płaszczka nosiłem artylerzystom granaty.

– To dobrze, nie wątpimy, że tak jest, ale jakże się ty tam dostaniesz? Przecież wejście musi być od wnętrza reduty?

– Rozumie się, że od wnętrza, jakżeby mogło być inaczej! Loch ten ma drzwi liche, bo z prostych desek zbite i na kłódkę zamykane.

– Więc jakże się dostaniesz? Przecież do środka reduty Prusaki cię nie wpuszczą i drzwi otworzyć nie pozwolą.

– Ja też wcale nie myślę dostawać się do wnętrza reduty. Tobym się dopiero spisał! Zakłuby mię bagnietami.

– No więc opowiedz, jak i co myślisz zrobić. Wiedzieć wszystko musimy, bo najpierw, mój chłopcze, jeżeli rzecz okaże się niemożliwą do wykonania, toć przecie nie chcemy nara-

zać twego życia na próżno i bezowocnie, a potem możemy ci dać jakąś lepszą radę i pomoc. Mów więc, jak to zamýślasz wykonać?

– A oto tak: powiedziałem już, że do szańca od strony północnej, gdzie się znajduje loszek z prochami, dotykają sady zarosłe starymi śliwami i mnóstwem krzaków agrestu, porzeczek i malin. Są nawet całe zagony malin, rosnących bardzo gęsto. Od loszku na zewnątrz, tuż przy rowie otaczającym okop, znajduje się maleńkie i dobrze ukryte, zaopatrzone w kraty, żelazne okienko.

– Aha!... o tym nic nie mówiłeś. Ale powiadaj dalej.

– Otóż tymi ogrodami i krzakami w noc ciemną, a są już noce ciemne, bo miesiąc nie świeci, aż dopiero nad ranem wschodzi, podkradnę się do samego rowu, spuszcę się tam nieznacznie i podpełzną do okienka. Kraty są niezbyt gęste, tak że długi lont z łatwością wpuszczę do lochu, zapalę i potem w nogi! Co to będzie za widowisko, jak Prusacy wylecą sobie w powietrze i nogami tam fajtać będą! Hi! hi! hi! to ci dopiero będzie!...

– Tak, to wszystko jest możliwe, choć bardzo niebezpieczne. Ale my z tobą pójdziemy, zasiądziemy we trzech w malinach z nabitými siekańcami karabinami i w razie, gdyby się straż spostrzegła i narobiła alarmu, pošemy jej garść ołowiu. Ale tu nie o to idzie. Najważniejsza jest rzecz, by lont spadł na beczkę z prochem, a jakże ty przez kratę i po ciemku zrobisz, żeby lont trafił na beczkę? Może spaść na ziemię i zgorzeć spokojnie bez zapalenia prochów.

– Hm! – zastanowił się Wiertelewicz – i to prawda. I tym łacniej lont może spalić się bez wywołania wybuchu, że beczki są z góry ponakrywane dnami i rogózkami. Jeżeli trafię w beczkę, to jeszcze pół biedy, rogózki są suche i zajmą się od lontu... hm! hm!

– A jak nie trafisz?

– Ano, to wszystko na nic. Może nastąpić wybuch, ale może i nie nastąpić. Ale! a prawda! pod samym okienkiem leżą granaty, na nie spuszcę lont i jazda... Prawda! Prawda!

– Ba! jeżeli Prusacy nie zmienili już, lub jeszcze nie zmieniają rozstawienia prochów w loszku. Ale to trudno. Trzeba coś zostawić opatrności i losowi. Gdyby wszystko na świecie było łatwym, toby ludzie niczym kłopotać się nie potrzebowali. Ale jeszcze jest jedna okoliczność, która mi się wydaje niezmiernie trudną i prawie niewykonalną.

– Jakąż to okoliczność? – spytał Wiertelewicz.

– Taka, że lont możesz zapalić dopiero przy okienku.

– Rozumie się, bo nim bym doszedł, toby się spalił do połowy, a zresztą Prusacy mogliby w nocy dojrzeć światelko.

– A więc czymże ty lont zapalisz? Musisz wziąć z sobą krzesiwo i hubkę, skrzesać ognia, a to wszystko najprzód dużo czasu zajmie, a potem Prusacy mogą usłyszeć twoje krzesanie.

– To prawda, więc co robić?

Na to Gugenmus, milczący przez cały czas tej rozmowy, zerwał się z krzesła i zawołał:

– Ja wam, obywatel, na to poradzę!

To rzekłszy pobiegł do swej sypialni i słycać było, jak czegoś tam szukał i brzęczał rozmaitym żelaziwem, otwierał i zamykał szuflady, wreszcie zjawił się, niosąc w ręku jakiś sprzęt niewielki, czarny, okrągły, metalowy. Stanąwszy przed księdzem sprzęt ów podniósł do góry i zawołał:

– Obywatele! to jest ślepa latarka. Sam ją sporządziłem i jest wyborna. Oto tu, w środek wstawi się zapaloną świeczkę woskową, te drzwiczki się zamkną, to nakrycie się spuści i światła na zewnątrz nie widać. Dla większego bezpieczeństwa obywatel gwardzista Wiertelewicz latarkę tę może ukryć pod płaszczem. Przyszedłszy do owego okienka drzwiczki te otworzy (trochę skrzypią, ale ja je oliwą nasmaruję), lont zapali i wszystko skończone.

Po kolei każdy z obecnych oglądał latarkę i przyznał, że nic lepszego być nie może.

– Więc dobrze! – zakonkludował ksiądz – rzecz postanowiona. Jutro, da Bóg doczekać, zabierzemy się do roboty. Wolę, jeżeli się uda, spalimy, a szaniec wysadzimy w powietrze. A

teraz spać, trzeba dobrze odpocząć i nabrać sił na jutro. Wkrótce w mieszkaniu obywatela Gugenmusa słychać było tylko równe i głębokie oddechy pogrążonych we śnie czterech gwardzistów.

ROZDZIAŁ XVI

Jak obywatel Wieprzowski przystał do czterech gwardzistów.

Nazajutrz czterej nasi gwardziści, wywczasowawszy się wygodnie i dobrze w cichych izbach obywatela Gugenmusa, wstali rześcy, zdrowi, swobodni i pełni otuchy. Stara Kacprowa dała im na śniadanie ogromną miskę zacierek z mlekiem, którą spałaszowali w oka mgnieniu, a pan Gugenmus chciał ich poczęstować swoją tabaką, ale mu wszyscy podziękowali, bojąc się ciągłego kichania.

Po śniadaniu zabrano się do wykonania wczoraj powziętych planów i robienia przygotowań do tej nowej, o wiele niebezpieczniejszej od pierwszej wyprawy. Za radą obywatela Gugenmusa rzecz postanowiono przyspieszyć, najpierw z tego względu, by niebezpieczeństwo wiszące nad Warszawą, dopóki Wola będzie w rękach pruskich, usunąć, a potem, że właśnie noce były teraz ciemne i sprzyjały zamierzonej robocie.

– Tylko wśród ciemnej nocy możliwe jest wykonanie waszego zadania – mówił Gugenmus.

Za jego też radą postanowiono na tę wyprawę ubrać się w lekkie, czarne płaszcze, których sprawieniem zajął się Gugenmus.

– Nic mię to kosztować nie będzie, bądźcie obywatele spokojni. Pójdę do obywatela Mędrzeckiego, który ma skład towarów bławatnych na Senatorskiej ulicy i powiem mu, że dla czterech gwardzistów potrzeba kamlotu na płaszcze. On tę ofiarę zrobi, a obywatel Paradowski je uszyje.

– Nie trzeba na cztery płaszcze, tylko na trzy – zauważył ksiądz – bo ja mam płaszcz, trochę zniszczony i podarty, to prawda, ale zakonnikowi taki przystoi, w nocy nikt nie zobaczy.

Ponieważ ksiądz potrzebował wyjść na miasto, a nie miał czym nakryć swej „łepetyny”, więc Gugenmus pożyczył mu czarny, stosowany kapelus, w którym ksiądz zabawnie wyglądał. Tomek też poleciał do swej babki, żeby się z nią zobaczyć. Frankowi i Wiertelewiczowi polecono zająć się przygotowaniem dwóch lontów, które skręcili z konopi, nasycając je siarką i saletrą.

Tak upłynęło parę dni wśród narad i rozmyślań nad gotującą się niebezpieczną wyprawą. Wiertelewicz z księdzem parokrotnie w dzień robili wycieczki ku Woli, narażając się nieraz na schwytanie przez podjazdy pruskie.

Wracając z jednej z takich wycieczek do okopu pod Powązkami, zostali zaczepieni przez obywatela Jana Wieprzowskiego, majstra rzeźnickiego, który należał do straży obywatelskiej i ani na chwilę od połowy lipca nie opuszczał szańca.

– Mości obywatele, skądże to wracacie? – pytał pan majster.

– Tak sobie – odpowie ksiądz – chodziliśmy na zwiady, czy tam Prusacy czego nie knują.

– Hm – mruknie Wieprzowski – mnie się widzi, prawdę rzekłszy, że to nie Prusacy jeno wy coś knujecie. Mnie tam w pole niełatwo wyprowadzić, mam ja mosterdzieju dobre oczy.

Mówiąc to mrugał zabawnie oczami i śmiał się głośno.

– Nie rozumiem, obywatelu, o czym mówisz – odparł ksiądz chłodno.

– Ej, co to po próznicy gadać! – zawołał Wieprzowski – niby ja nie widzę, dokąd chodzicie i ciągle między sobą jakieś szeptki i zmywy czynicie. Ot wiesz co, księżę mosterdzieju?

– Nie wiem.

– A to, że jest to rzecz nie do darowania, żeście Wieprzowskiego, majstra rzeźnickiego i też obywatela warszawskiego i Polaka jak się patrzy, nie wzięli ze sobą na ową wyprawę na szpiegów żydowskich. Bardzo mi to było przykro, bardzo... Przecie i ja się mogę na coś przydać, a tu gnić w okopie już mi się cknę, prawdę rzekłszy.

– Nie wiedzieliśmy, żeście obywatelu chcieli brać udział w tak ciężkiej wyprawie. Nie przypuszczaliśmy, żeby wam się chciało tłuc po dziurach w nocy, na deszczu i burzy.

– A dlaczegożby mi się nie miało chcieć, tfu! do kaduka, mosterdzieju? Czy to nie jestem Polak i czy mię także ręka nie świerzbi, żeby lanie sprawić tym Szwabom? Krzywdzicie mię, mosterdzieju księżę, bardzo krzywdzicie!

– Przepraszam mocno, nie chciałem wam obywatelu nic przykrego powiedzieć.

– Ej, co tam! Co się stało, to się nie odstanie i ja tego nie żałuję, co przepadło. Ale widzicie, mosterdzieju księżę, że do śmierci bym wam nie przebaczył, gdybyście chcieli co nowego zrobić beze mnie.

– Ale kiedy my... właściwie...

– No! no! już ja dobrze widzę, że macie tam jakieś nowe zamiary. Nie włączylibyście się po próznicy po polach, gdzie was Prusaki łącno mogą zdybać, gdybyście nie myśleli o wyrządzeniu im jakiego psikusa. A skoro tak jest, to pamiętajcie, że Wieprzowski ma też ręce nie od parady, a zawsze mosterdzieju może się przydać człek zdeterminowany i ochotny do bitki, i taki, który się samego Belzebuba nie ulęknie, a nie dopiero regnanta pruskiego.

Słowa te dały księdzu do myślenia. W rzeczy samej, zadał sobie pytanie, dlaczego by nie przypuścić do tajemnicy i do współudziału w wyprawie tak dzielnego człowieka, jak Wieprzowski. Znał go od dawna, wiedział, że nie zdradzi, że owszem pomoc może wiele, bo w takiej imprezie, jaką zamierzał ze swymi gwardzistami przedsięwziąć, nigdy nie może być za dużo rąk dzielnych i serca odważnego.

– Hm! – rzekł po krótkim, ale stanowczym namyśle – skonwinkowałeś mię, mości obywatelu. W istocie, przedsięwierzemy bardzo niebezpieczną wyprawę, w której można życiem nadłożyć, a której powodzenie jest bardzo wątpliwe, ale uważamy, ja i moi towarzysze, że dla dobra ojczyzny trzeba to uczynić.

Wieprzowski wyciągnął swą potężną dłoń i chwytając księdza za rękę, zawołał:

– Księżę mosterdzieju! macie mnie! Choćby pójść do środka obozu szwabskiego, jak trzeba dla Polski, to pójde.

– Dziękuję ci obywatelu! dopóki tacy istnieją, dopóty nie przepadniemy. Wszystko ci więc opowiem, co zamierzamy uczynić, nie znaczy to jednak, zastrzegam się, byś dowiedziawszy się o naszych planach miał koniecznie do nich należeć. Masz, obywatelu żonę i dzieci, a potwarzam, że według wszelkiego prawdopodobieństwa w wyprawie tej życie położymy.

– Co tam żona, dzieci! Pierwsza mi Polska, a potem żona, mosterdzieju. Przy tym mości księżę, wiedz, że moja to taka mądra baba, że ona sobie i beze mnie da radę, a nawet lepiej. Ja tu przecie jestem, a ona warsztat prowadzi, czeladników dobrze wykuksa, świniaki rzeza aż miło... Co tam o to; ja jej tam wcale nie jestem potrzebny. A przy tym mosterdzieju, prawdę rzekłszy, uciulało się trochę grosza, jest kilka tysięcy, które moja trzyma w dobrym schowaniu, to po mojej śmierci ani ona, ani dzieci biedy nie zaznąją. Ot co jest!... więc niech ksiądz mosterdzieja, głowa o to nie boli.

– W każdym wszelako razie my was, obywatelu, do tej wyprawy ani namawiać, ani zmuszać nie możemy i nie chcemy. Dowiedcie się o wszystkim i wolno wam będzie wycofać się;

wszelako nim wam powiem, o co idzie, musicie mi uroczyście przysiąc, że nikomu o tym ani słówka nie piśniecie i zachowacie sekret zupełny.

– Tfu! do kaduka, czy to ja, mosterdzieju, farmazon jaki albo Szwab z przeproszeniem, albo może Żyd, jak ten Wolf, żebym miał zdradzać? Każecie, obywatelu księżu, zaprzysiąc, to zaprzysięgnę, ale i bez tego ani pary z gęby nie wypuszczę.

– To dobrze, uwolnijże się obywatelu dzisiaj ze straży i przyjdź do Gugenmusa na ulicę Piwną, to się tam naradzimy i wszystko ci powiemy.

– Dobrze, przyjdę z pewnością, mosterdzieju!

Wiertelewicz przez cały czas tej rozmowy nie odzywał się wcale, tylko stał oparty na karabinie i wpatrzony w reductę wolską, której wysokie szańce wystawały ponad zboże od dawna dojrzałe, a niestety nie zbierane i sypiące się już obficie, i której profil poza drzewami widać było wyraźnie. Gdy ksiądz rozstał się z Wieprzowskim i uszedł kilka kroków, zwrócił się do Wiertelewicza i spytał:

– A cóż ty na to, Jacuś?

– Na co?

– Że obiecałem Wieprzowskiego przypuścić do naszej wyprawy?

– A nic. Ksiądz jest mądrzejszy ode mnie i wie, co robi. A przy tym Wieprzowski tęgi chłop i Prusacy będą mieli do czego strzelać, jak do tarczy. Ojoj, napukają mu też w brzuszysko kul co niemiara!

– Ale tu nie o to idzie wcale, tylko czy Wieprzowski przyda nam się na co?

– I jak jeszcze. Zawsze im więcej rąk, tym lepiej.

– I ja też tak myślałem – zakonkludował ksiądz rozmowę i już w milczeniu szli dalej.

Wieczorem w rzeczy samej zjawił się imci pan Wieprzowski w mieszkaniu obywatela Gugenmusa i po obznajomieniu go z całym planem w sześciu odbyli wielką naradę. Wieprzowski był zachwycony tymi zamiarami, cieszył się jak dziecko, że Prusaki wylecą w powietrze, uderzał swą ciężką ręką po kolanach Gugenmusa, aż ten podskakiwał i wołał:

– Obywatelu, pogruhoczesz mi kości!

W końcu ksiądz zapytał Wieprzowskiego:

– Cóż, obywatelu, jakże myślicie, czy udadzą się nam nasze zamiary?

– Mosterdzieju! udać się muszą. Nie wiem, kto tam z ichmościów wymyślił taką sztukę, ale widać, że ma głowę nie do pozłoty. I ja coś acpanom powiem.

– Nie mówi się acpanom, tylko obywatelom... – wtrącił Gugenmus nacierając sobie ręką kolano, ścierpłe od niezbyt delikatnych uderzeń Wieprzowskiego.

– I to racja – zauważył ten ostatni – co racja, to racja. Ale tedy, co robiący, powiem obywatelom, że ja dobrze znam te sady, co są pod szańcem wolskim. Należą one do mojego krewniaka Bonifacego Wyporkowskiego, który jest ogrodnikiem. On tam teraz nie siedzi, bo się boi, z kobietą i dziećmi wyniósł się przed Prusakami do Warszawy i mieszka na komornym na Firmańskiej ulicy. Domostwo stoi pustką, ale tam są wielkie piwnice, w których on przez zimę przechowuje ogrodowizny. Otóż tedy, jakby nas Prusaki za mocno przycisnęli, to my się w tych piwnicach schować możemy i pies nas tam nie znajdzie.

– Dobrze i to wiedzieć – rzekł ksiądz – a ogrody znacie dobrze, obywatelu?

– Jak własną kieszeń! Z zawiązanymi oczami mogę po nich chodzić i nie zabłądę. Przecie często z dziećmi tam bywałem u krewniaka, nie dawniej jak na wiosnę byliśmy tam na wiśniach.

Pogadali jeszcze trochę i ksiądz rozmowę i naradę zakończył słowami:

– A więc wszystko gotowe. Jutro o północy wyruszamy i albo zginiemy, albo Prusaków wysadzimy z całym szańcem w powietrze.

ROZDZIAŁ XVII

Obywatel Gugenmus przekonywa wszystkich, że dusza jego gardzi niebezpieczeństwem.

Kiedy nazajutrz późnym wieczorem czterej nasi gwardziści i obywatel Wieprzowski według umowy zebrali się między szansem powązkowskim a wolskim, na owej drodze lipami wysadzonej, którą niegdyś przejechał Naczelnik Kościuszko dla obejrzenia straży obywatelskiej pana Bluma i Heliglasa, zdziwieni zostali, gdy wśród ciemności rozległ się znany im dobrze głos Gugenmusa:

– Obywatele, o! obywatele, zaczekajcie na mnie!

Biegł co miał sił, ubrany w krótki płaszczyk z kilku coraz mniejszymi pelerynami, w stosowany kapelusz, a w rękę niósł rusznicę. Przypadł mocno zdyszany, stanął, zdjął z właściwą sobie gracją kapelusz i kłaniając się dokoła rzekł:

– Raczcie przebaczyć, o! obywatele, że się nieco spóźniłem, ale przysięgam wam na honor, nie moja w tym wina. Miałem dużo kłopotu, nim dostałem tę oto flintę, ale jest ona bardzo dobra, bije celnie na pięćdziesiąt kroków. Tak mię przynajmniej zapewniano, a nie mam powodu wątpić w prawdziwość tych słów. Otóż, obywatele...

– Ale, u paralusza – przerwał mu Wieprzowski – co waćpan tu robisz?

– Obywatelu Wieprzowski – odrzekł chłodno Gugenmus – tylokrotnie zwracałem ci uwagę, że nie jestem żadnym waćpanem, tylko obywatelem. Postępujesz, obywatelu, wbrew zwyczajowi.

– Wszystko to pięknie – wtrącił ksiądz, chcąc przerwać rozmowę, która mogła doprowadzić do sporu, zwłaszcza że Wieprzowski był gorączka – wszystko to pięknie, ale co obywatel tu robisz?

– Jak to, co robię? Idę tam, dokąd wy idziecie, żeby niecnych Prusaków wysadzić w powietrze.

– Co słyszę? ty, obywatelu, chcesz iść z nami?

– A tak, ja, majster Gugenmus, idę z wami. Czyż nie jestem patriotą? Czy mogę siedzieć w zacisznym kącie, kiedy moi przyjaciele rzucają się na tak zaszczytne i niebezpieczne przedsięwzięcia? Nie! nie mogę. Nikt nie powie, że Gugenmus opuścił swych przyjaciół. Zginą oni – i on zginie. Tak, idę. Na odchodnym z domu nakręciłem sobie szkatułkę grającą, napawałem się rozkosznymi tonami poloneza i duszę z ich pośrednictwem wzniosłem tak wysoko, że gardzi wszelkim niebezpieczeństwem.

– Ależ to być nie może! – zaprotestował ksiądz.

– Co tu gadać po próznicy – odezwał się Wieprzowski – skoro obywatela Gugenmusa świerzbi skóra, niech idzie. Szkoda czasu tracić na gadanie. Księżyc wzejdzie za trzy godziny, trzeba nam się śpieszyć.

Gugenmus podbiegł do Wieprzowskiego, chwycił ręką jego dłoń spracowaną, uściśnął ją gorąco i rzekł z patosem:

– Dziękuję ci, obywatelu Wieprzowski, bardzo dziękuję.

– Zaraz! – zawołał ksiądz – więc acpan nas prowadzisz?

– Ja.

– Czy wszystko gotowe, chłopcy? Czy broń nabita?

– Nabita – odpowiedzieli chórem.
– Jacuś, masz latarkę i lonty?
– Mam.
– Zapalże ją tutaj, bo później nie będzie ani czasu, ani miejsca po temu.
– Hm! – odrzekł na to Wiertelewicz – kiedy się boję, że świeca wypalić się może, nim się dostanę do szańca.
– Oczywiście rzecz, że się wypali – zauważył Wieprzowski – i na mój rozum najlepiej tę latarkę zapalić w mieszkaniu mego krewniaka Wyporkowskiego.
Ksiądz przez chwilę myślał, wreszcie rzekł:
– Niech i tak będzie, choć możemy w tym mieszkaniu zastać Prusaków. Ale trudno, skoro inaczej nie można.
– Nie widzi mi się, żebyśmy w chałupie Wyporkowskiego znaleźli Prusaków – rzekł Wieprzowski – bo to za daleko od reduty.
– A więc w imię boże, ruszajmy! – rozkazywał ksiądz.
Przeżegnał siebie i swych towarzyszy znakiem krzyża św. mówiąc głośno:
– W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!
– Amen! – szepnęli, kładąc również na piersi znak krzyża.
– Jeszcze słówko – rzekł ksiądz – mówić nic nie wolno. Jeżeli kto będzie miał co do powiedzenia, niech do ucha szeptem powie. Iść jak najciszej i najostrożniej, rozkazów słuchać! Idźmy!

Noc była bezksiężycowa i bardzo ciemna, niebo zachmurzone i wiatr niezbyt silny wiał od strony szańca wolskiego, co było okolicznością nader szczęśliwą, bo nie pozwalało strażom niemieckim słyszeć podkradających się. Wieprzowski szedł przodem, a jego olbrzymia sylwetka niewyraźnym cieniem rysowała się na tle posępnym nocy. Zaraz z początku skręcił w bok z drogi wysadzonej lipami i szedł wśród zbóż dojrzałych, stratowanych, połamanych od licznych pocisków, tu i ówdzie popalonych od granatów lub gorejących przybitek karabinowych. W ogóle było dość cicho; wiatr tylko szumiał po zbożach i czasem przynosił przeciągłe okrzyki straży niemieckich, nawołujących się nawzajem do czuwania. Wszyscy postępowali za Wieprzowskim jak najciszej, w głębokim milczeniu i skupieniu ducha. Za Wieprzowskim posuwał się ksiądz, potem Wiertelewicz, potem Franek, Tomek, a na samym końcu Gugenus. Musieli iść gęsiego, bo miedza wśród zboża była wąska i że w ten sposób najmniej robili hałasu.

Szli dość długo nic nie widząc przed sobą prócz czarnej jakiejś plamy, która zapewne była szeregiem drzew. Wieprzowski parę razy zmieniał kierunek, to na prawo, to na lewo, aż nareszcie wyszli na jakieś wzgórze, krzakami zarosłe i stąd po lewej ręce wyraźnie na białym pasie nieba nad horyzontem zarysowały się przed nimi czarnymi konturami groźne, równe, ostro zakończone szańce reduty wolskiej. Ciemna ona była, zupełnie cicha i jakby zamarła.

Kiedy tak stoją i patrzą zakryci krzakami, nagle na wierzchu szańca ukazał się mały ogienek ruchliwy, który to zatrzymywał się, to posuwał naprzód. Wieprzowski nachylił się do ucha stojącego obok niego księdza i szepnął:

– To ront obchodzi strażę; to dobrze, bo dopiero za dwie godziny będzie znów obchodzić.

Po chwili jeszcze raz się nachylił i wskazując ręką na prawo, gdzie czerniała gęsta i duża gromada drzew, szepnął:

– Tam jest chałupa Wyporkowskiego.

– Daleko jeszcze do niej? – spytał ksiądz.

– O! jeszcze kawałek. Trza iść!

Ruszył przodem, spuścił się ze wzgórza, przy czym parokrotnie nastąpił swą ciężką nogą na suche gałęzie, obficie rozrzucone po wzgórzu, odłamane widać od krzaków pociskami, które za każdym jego krokiem głuchy trzask wydawały.

– Bodaj cię wciurności! – mruknął, ale szedł dalej.

Zaszył się teraz znowu w zboże i po chwili znalazł się na drodze wysadzonej po obu stronach wierzbami, straszliwie pokaleczonymi i połamanymi, zapewne od pocisków. Tu zatrzymał się chwilę i gdy ksiądz zbliżył się do niego dla dowiedzenia się o przyczynie, szepnął:

– Powiedz im ksiądz, żeby wyteżyli uszy, czy czego nie słyszą.

Ksiądz szepnął to Wiertelewiczowi, a ten następnemu i tak stali przez chwilę słuchając. Ale w powietrzu prócz szumu wiatru po zbożu i po liściach wierzb żaden inny głos nie dochodził. Wieprzowski więc znów ruszył przodem, ale szedł skrajem drogi, pod drzewami, zasłonięty ich cieniem. Droga była dość przykra, pełna kamieni i wyrw, ale szli wolno i ostrożnie, próbując wprzód nogą gruntu, nim stąpali. W ten sposób posuwali się dobre dwa pacierze, wśród owej względnej ciszy panującej w naturze; drzewa czerniące się przed nimi coraz bardziej rosły, widocznie zbliżano się do posiadłości Wyporkowskiego.

Majster Wieprzowski znowu się zatrzymał i szepnął do ucha zbliżającego się księdza.

– Trzeba, żeby który z młodych poszedł na zwiady, czy Prusaki nie siedzą w chałupie mojego krewniaka. Ja bym to zrobił, ale ciężki jestem i niezgrabny. Najlepiej niech Tomek idzie. Cienki jest, to się łatwo przeslizgnie. Niech tu przyjdzie do mnie, ja mu powiem, jak ma iść i którędy.

Ksiądz przesłał ten rozkaz dalej i Tomek stanął przy Wieprzowskim:

– Uważasz chłopcze – szepnął mu majster – trza, żebyś poszedł do tych tam zabudowań i zobaczył, czy Prusaki ich nie zajęli. Łatwo ci to będzie zrobić, bo niepodobna, by siedzieli po ciemku i światło zobaczysz. Pójdiesz, mosterdzieju, tą oto drogą prosto; trzymając się ciągle wierzb napotkasz w końcu parkan i bramę. Tak parkan, jak i brama zrobione są z desek źle spojonych i szpary są w nich liczne. Przez nie zajrzysz do środka i jeżeli światło obaczysz w oknach lub cokolwiek, co by świadczyło o pobycie Szwabów, cichaczem zawrócisz i dasz nam znać. My tu zaczekamy na ciebie. No idź, niech cię prowadzi Najświętsza Panna Częstochowska.

Tomek nic na to nie odrzekł, przeżegnał się tylko, karabin poprawił na sobie i zniknął w ciemnościach nocy, przeslizgując się wśród drzew z ledwie dosłyszalnym szelestem. Szedł, zatrzymując się co chwila dla posłuchania, czy jaki podejrzany głos go nie dojdzie i dla nabrania w płuca powietrza, bo od wzruszenia brakowało mu tchu. Serce biło mu jak młotem, ale postępował ciągle naprzód i za nic na świecie nie byłby się wrócił. Wkrótce spostrzegł przed sobą parkan. Zatrzymał się nasłuchując, ale prócz szumu wiatru wśród liści drzew wyteżone jego ucho nie schwyciło żadnego innego odgłosu. Zbliżył się więc bardzo ostrożnie i zajrzał do środka przez szparę, ale nic nie dostrzegł. Dom, dość duży, rozplywający się niewyraźnie wśród cieniów nocy, był czarny i ciemny. Nigdzie żadnego światła nie widział.

– Chyba nie ma tu nikogo! – pomyślał sobie.

Nabrał więc otuchy i idąc wzdłuż parkanu dostał się do bramy. Była ona otwarta na rozcież. Jedna wierzeja wyrwana z zawias zwieszała się bokiem, druga była przymknięta. Tomek obejrzawszy to, stanął i zawahał się:

– Iść czy nie iść do środka? – pytał się siebie.

– Trzeba iść – pomyślał w końcu – i zbadać wszystko dokumentnie. Po to mię tu wysłali. Tak, trza iść. Co będzie, to będzie!

Przeżegnał się znowu, karabin wziął w rękę, tak żeby w potrzebie mógł zaraz dać ognia i ruszył śmiało naprzód. Podwórze, dość obszerne, było puste – w głębi wznosił się dom czarny, milczący, ponury. Przemykając się pod parkanem, dostał się pod ten dom i zajrzał w pierwsze okno. Szyby były powybijane i wewnątrz panowała cisza zupełna. Idąc pod ścianą, dostał się do drzwi, które były otwarte i potrzaskane i przez nie wszedł do sieni przecinającej dom na przestrzał. Widać było błądy blask nieba na przeciwnej stronie i cienie ruchliwe

drzew. Przeszedł więc sień, potykając się w ciemności o jakieś przedmioty i znalazł się w ogrodzie. Wszędzie było cicho, ponuro, wietrzno.

Teraz był przekonany, że dom jest pusty zupełnie. Zawrócił więc, przebiegł podwórze, bramę i wkrótce znalazł się przy swoich towarzyszach, tak dobrze ukrytych wśród drzew, że ledwie ich dostrzegł. Zbici w gromadkę, udzielając sobie szeptem uwag, stali, oczekując w niepokoju na powrót Tomka. Gdy ten szepnął księdzu o rezultacie swych poszukiwań, ksiądz odetchnął i rzekł dość głośno, tak że go wszyscy słyszeli:

– Chwała Bogu! dom jest pusty.

ROZDZIAŁ XVIII

Jako obywatelowi Wieprzowskiemu było markotno, że mu kazano słuchać, a nie rezonować.

Wkrótce wszyscy, zawsze pod przewodnictwem Wieprzowskiego, znaleźli się na podwórzu owego mrocznego czarnego domu, otoczonego dokoła drzewami zdwajającymi ciemność. Wieprzowski starannie obejrzał bramę i rzekł:

– Prusaki tu widać bywają, a może to kule, mosterdzieju, wyrwały ją z zawiasu. Ale chodźmy dalej.

Wszedłszy do sieni pchnął pierwsze drzwi na prawo, postąpił parę kroków i poprosił Wiertelewicza o ślepą latarkę. Skrzesał ognia, świeczkę woskową zapalił i rzekł głosem stłumionym:

– Niechże Franek stanie na straży przy bramie, a Tomek przy drzwiach od ogrodu i niech dobrze uszu nadstawiają, czy nie usłyszą jakiego ruchu. My tymczasem we czterech obejrzymy dom cały i piwnice.

Rozkaz ten wykonano. W trzech izbach, z których się całe domostwo składało, żywej duszy nie znaleziono, ani też sprzętów, prócz trochę śmieci, połamanego stołu, skorup od garnków, rozwalonego pieca i mnóstwa dziur od kul, które powybijały szyby i tkwiły tu i ówdzie w ścianach. Ruina i zniszczenie było zupełne. W jednej z izb podłoga była w części wyrwana i widać było ślady dużego ogniska, które widocznie podsycano porąbanymi deskami, bo liczne drzazgi leżały dokoła. Na ścianie wprost drzwi zwieszał się w potrząskanej ramie obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, podziurawiony bagnetami.

– A hycle heretyki! – mruknął Wieprzowski, a obejrzawszy dom rzekł:

– Teraz chodźmy do piwnic, trzeba, żebyście wiedzieli, gdzie się schronić w razie potrzeby.

To rzekłszy poprowadził ich do izby z lewej strony sieni, tam wcisnął się za wielki, na pół zrujnowany piec i w podłodze podniósł drzwi dobrze ukryte.

– Mój krewniak tu chowa owoce, żeby mu nie rozkradli. Tę piwnicę trudno znaleźć, kto jej nie zna.

Po stromych schodach zeszli na dół, do dużej, suchej, sklepionej piwnicy. Pustki tu były, w kącie tylko leżała kupka zgniłych jabłek.

– Prusaki tu widać nie trafili – rzekł Wieprzowski – to i dobrze, nie wiedzą o piwnicy. Pamiętajże moiści Wiertelewicz, że gdyby cię Szwaby ścigały, wpadnij tu, drzwi zamknij na zasuwę i siedź cicho, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

– Jakże to? – rzeknie Wiertelewicz – przecie na mnie czekać będziecie, dopóki nie wrócę.

– Rozumie się, że czekać będziemy – odparł ksiądz – i w razie potrzeby tu się schronimy. Ale chodźmy, bo czasu niewiele. Księżyc niedługo wzejdzie.

Ledwie wyszli z piwnicy, gdy od strony sieni dał się słyszeć stłumiony głos Tomka:

– Gdzie jesteście?

– Tutaj! co takiego? – spytał ksiądz wybiegając do sieni.

– W ogrodzie czy za ogrodem – szeptał zdyszonym głosem Tomek, widocznie od silnego wzruszenia – słychać jakąś rozmowę i człapanie koni.

– To nie w ogrodzie, jeno za ogrodem musi być – ozwał się Wieprzowski – tam idzie droga tuż pod parkanem. Chodźmy obaczyć, co to takiego.

– Ośmielam się zwrócić uwagę obywatela Wieprzowskiego – rzekł Gugenmus – że może by dobrze było zgasić latarkę.

– A prawda, co racja, to racja! – odpowiedział Wieprzowski i dmuchnął z taką siłą, że mógłby dziesięć, a nie jedną cienką świeczkę zgasić. – A teraz chodźmy – dodał – proszę iść za mną. Wiertelewicz, masz twoją latarkę.

Wyszli wszyscy do ogrodu, stanęli i poczęli pilnie słuchać. W rzeczy samej wiatr przynosił gwar rozmowy, brzęk szabel i człapanie koni po piaszczystej drodze.

– Ani chybi Prusaki – mruknął Wieprzowski – ale co te hycle tu chcą?

– Nie ulega wątpliwości – rzekł ksiądz – że zbliżają się do nas. Panie Wieprzowski, powiadasz, że droga idzie tuż za parkanem ogrodu?

– Tak.

– Prowadźże nas do tego parkanu. Zobaczmy, co to takiego. Chłopcy! zachować się cicho, dech nawet w sobie zatrzymać. Ogród jest gęsto zasadzony, trudno, żeby nas kto mógł zobaczyć. Prowadź, moiści Wieprzowski!

– Znowu szlacheckie tytuły! – szepnął na pół do siebie, a na pół do idącego obok Wiertelewicza Gugenmus – ci ludzie nigdy nie będą prawdziwymi rewolucjonistami!

Ale Wiertelewicz na tę uwagę nic nie odrzekł, bo całą duszę skupił w słuchu, chwytając bacznie najmniejszy odgłos dochodzący gdzieś spoza ogrodu. Ogród ten w rzeczy samej gęsto zarosły śliwami i wiśniami, starannie utrzymany, ze ścieżkami, po bokach których rosły krzaki agrestu, porzeczek i malin, był doskonałym schronieniem nawet w dzień, a cóż dopiero w nocy. Wieprzowski zresztą jako wyborny strategik nie prowadził swych towarzyszy ścieżką, ale na przelaj przemykał się między drzewami stąpając bardzo ostrożnie, choć nie obeszło się bez tego, by czasem nie nadepnął na jaką suchą gałąź, która mu zatrzeszczała pod nogami. Zatrzymywał się wtedy i mruczał:

– Bodaj to wciurności!

Wszyscy się także zatrzymywali i tłumiąc dech w sobie słuchali, czy ten trzask, który zdawał im się być nadzwyczaj rozgłośnym, nie doszedł do uszu zbliżających się jeźdźców. Ale uspokajali się zaraz, gdyż jeźdźcy posuwali się dalej, gwar ich rozmowy wiatr coraz wyraźniej przynosił i widocznie czuli się zupełnie bezpieczni.

Na koniec dostano się do parkanu. Był on w wielu miejscach podziurawiony kulami, tu i ówdzie pojedyncze deski były wyrwane, a nawet dalej nieco, po lewej ręce, przy zagięciu całym zwalony leżał na ziemi.

– Hm! to i tu Szwaby gospodarowały po swojemu! – mruknął Wieprzowski oglądając się dookoła. – Z kretesem zniszczyli Wyporkowskiego. Jak się dowie o tym, to się rozchoruje ze zmartwienia.

Mówił to z taką swobodą, jakby siedział za stołem we własnym domu na Dunaju Szerokim i popijał ze szklanicy piwo wareckie.

– No! przycupnijmy, mosterdzieju, do parkanu i patrzmy na tych hyclów – mówił dalej – ale sza! ani mru mru!

Uślucho go: każdy przytulił twarz do pierwszego lepszego otworu w parkanie i stał nieruchomy, tłumiąc dech w sobie. A tymczasem jeźdźcy owi coraz bardziej się zbliżali. Jechali od Szczęśliwic czy Górc ku szańcowi wolskiemu i z dala widać było liczne migotliwe ogniki – widocznie palili fajki – i mocny zapach trochę cuchnącego tytoniu, przynoszony przez wiatr, dochodził do naszych ukrytych wolontariuszów. Ten zapach silny i drażniący obudził w księdzu pewną trwogę.

– Na miłość Boską – szepnął do ucha Wiertelewiczowi – niech który nie kichnie. Powiedz o tym sąsiadowi, że jeżeli w nosie mu zawierci, to niech go sobie ręką mocno potrze. Kichnięcie mogłoby nas zdradzić!

Wiertelewicz polecenie to wykonał i w sam czas, bo właśnie Tomek, widocznie czuły na zapachy, musiał zaraz nos pocierać. Udało mu się to szczęśliwie i za parkanem panowało niczym niezmacone milczenie.

Wśród tego jeźdźcy coraz bardziej się zbliżali. Droga szła tuż pod parkanem i gdyby który z nich wspiął się na strzemionach, mógłby zajrzeć do środka ogrodu, choć czy by co zobaczył, jest wątpliwe, bo noc była bardzo ciemna. Teraz już słyhać było ich rozmowę, pojedyncze wyrazy dochodziły do uszu sześciu zuchów, brzęk szabel, człapanie koni, a nawet półgłosem nucona piosenka przez jednego z Prusaków. Widocznie wszyscy byli pod dobrą datą, z czego ksiądz wywnioskował; że zapewne wysłani na podjazd wstąpili gdzie do karczmy i polską śmierdziuchą dobrze się uraczyli. Ilu ich było, trudno było rozpoznać; po drodze posuwała się czarna jakaś, zbita masa.

Wieprzowski szepnął do ucha księdza:

– To huzary.

– A po czym aspan poznajesz?

– Po kołpakach na głowie. Trochę widać ich kształty. I wiesz ksiądz dobrodziej co?

– No?

– Ja bym, mosterdzieju, poradził powitać ich tu zza parkanu siekańcami. Jak palniemy razem w tę kupę, to dopiero bigosu narobimy!

– Ani mi się aspan waź! – syknął ksiądz – i milcz!

Wieprzowski umilkł, ale mruknął pod nosem niechętnie. A właśnie owa jazda już przesuwała się drogą koło parkanu. Szli kupą bez ładu i składu, palili fajki, rozmawiali głośno, po-brzękiwali szablami, kiwali się szkaradnie na koniach, klęli, a jeden z nich nucił półgłosem jakąś piosenkę, w której co chwila powtarzała się zwrotka:

„O! Mina ich bin dein”.

Na koniec przejechali. Było ich jeszcze jakiś czas widać, a nade wszystko słyhać, jak posuwali się ku szańcowi wolskiemu.

Wieprzowski się wyprostował i rzekł:

– Już niech ta ksiądz dobrodziej, mosterdzieju, gada co chce, a zawždy byłoby lepiej, żebyśmy byli tym hyclom posłali po naboju grankulek i siekańców. Narobiliśmy mięsa co nie-miara, a może też broni i koni nieco zdobyli.

– Myśmy tu przyszli dla celu o wiele ważniejszego jak zabicie kilku huzarów – odparł ksiądz chłodno – i zwracam uwagę obywatela Wieprzowskiego, że ma słyhać, a nie rezonować.

Wieprzowski mruknął znowu pod nosem i umilkł, a ksiądz tymczasem mówił:

– Chodźmy do izby i zróbmy ostateczne przygotowania do wyprawy Jacusia.

Wszyscy zawrócili, a ksiądz zbliżywszy się do Wiertelewicza szepnął:

– Jacuś, czujesz się dobrze?
– Ojoj joj! i jak jeszcze. A może ksiądz myśli, że tchórzę?
– Nie, tego nie myślę; ale widzisz Jacuś... tu idzie o życie... jeżeli się wahasz, to ja pójdę, choć nie znam dobrze położenia lochu z prochami.
– Jeszcze czego! żebyś ksiądz szedł! Nie ma o czym gadać, powiedziałem, że pójdę i pójdę, i Niemcom wyprawię fajerwerk siarczysty.
Weszli już do domu i tu w pierwszej izbie Wiertelewicz zapalił ślepą latarkę, zasunął ją dobrze i przywiązał sobie do pasa pod płaszczem, którym się szczelnie otulił. Dwa nasiarkowane lonty włożył w kieszeń, karabin zarzucił na ramię i rzekł:
– No, bądźcie zdrowi! Niech ksiądz mnie pobłogosławi i czeka na mnie przy parkanie.
Ksiądz zrobił znak krzyża św. nad głową chłopca i wyszeptał kilka słów modlitwy.
Wiertelewicz nakrył głowę i zawoławszy: – Tomek! Franek! bądźcie zdrowi! – zniknął w gęstniejących coraz bardziej ciemnościach nocnych.

ROZDZIAŁ XIX

Przygody Jacusia Wiertelewicza w jego wyprawie do szańca wolskiego.

Wiertelewicz, wyszedłszy z obejścia kolonii Wyporkowskiego, postępował zrazu dość żwawo wśród stratowanego mocno zboża, ale gdy posunął się dość znaczny kawałek drogi, zatrzymał się, by spojrzeć na okolicę. Przed nim, na bielejącym ciągle pasie nieba u skraju horyzontu występowały w ciemnych zarysach szańce reduty wolskiej, czarne, ponure i milczące. W całej naturze zresztą leżała posępna cisza, tylko wiatr świszczął wśród kłosów dojrzałych zboża i rozwiewał płaszcz idącego, który on starał się przytrzymywać. Ta cisza pełna melancholijnego szumu, to pustkowie, ta noc niczym nie rozjaśniona, to osamotnienie wobec poważnego niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, wywarły na chłopcu pewne przygnębiające wrażenie. Zdawało mu się, że jest opuszczony przez wszystkich, sam jeden wśród jakiejś olbrzymiej pustyni, z groźbą nieuniknionej śmierci nad głową. Duch jego zwałtał i wystawiając sobie potęgę pruską, trudność dokonania zamierzonego dzieła, uznał je za niemożliwe do spełnienia. Chciał nawet zawrócić, ale zaraz odrzucił tę myśl małoduszną.

„Co by powiedzieli na to ksiądz, Franek, Tomek, że on, gwardzista narodowy, cofnął się jak tchórz w połowie drogi nie zajrzawszy nawet niebezpieczeństwu w oczy? Co by powiedział Wieprzowski i obywatel Gugenmus? Nie! iść trzeba, niech się co chce stanie. Raz kozie śmierć!”

Postąpił więc parę kroków, potem ukląkł na murawie wśród kołyszącego się zboża, wśród nieskończonych, nieuchwytnych, tysiącznych głosów drzemiącej we śnie nocy letniej natury, zmówił krótką, ale gorącą modlitwę do Boga, oddał się pod jego wszechmocną opiekę i pokrzepiony, zdeterminowany na wszystko powstał i ruszył żwawo naprzód. Nie potrzebował szukać drogi, szedł na przelaj, mając ciągle przed oczami ponure zarysy szańca.

Musiałoby być już dobrze po północy, bo chłód go przejmował i febryczne dreszcze nim wstrząsały, więcej zapewne od wzruszenia niż od zimna.

Szedł jednak ciągle, nie zatrzymując się ani na chwilę. Ponure kształty reduty wolskiej były coraz bliższe, coraz wyżej się wznosiły. Znajdował się od niej może na odległość dobrego

strzału karabinowego, gdyż zboże się już kończyło, a przypominał sobie dobrze, że broniąc szańca zboże to widział i raził kulami ukrywających się w nim Prusaków. Zaraz za zbożem poczynał się stok szańca, lekko pochylający się, rzadką trawą zarosły, zdeptaną zapewne mocno w czasie ostatniego szturm, poszarpaną od kul i pocisków wszelkiego rodzaju. Za tym stokiem znajdował się rów bardzo głęboki ze stromym spadkiem, napełniony na dnie, po licznych ostatnich burzach i deszczach, grząskim błotem.

Wszystko to doskonale sobie przypominał usiadłszy w zbożu dla odetchnięcia nieco i namyslenia się. Przypominał sobie także, iż w czasie ostatniego szturm Prusacy rów ten do połowy nieomal zasypali faszynami, żeby go łatwiej przejść. Nie przypuszczał, by w parę dni po szturmie zdołali go na nowo oczyścić i pogłębić.

Pomyślawszy tak powstał, przeżegnał się i przypominając sobie ze szkolnych czasów Cezarów łacinę, szepnął:

– Alea iacta est!² Trzeba iść.

Lecz jeżeli dotąd nie potrzebował zbyt wielkiej zachowywać ostrożności, to teraz należało zdwoić bacność i obrachowanie każdego kroku i ruchu. Wychodząc z żyta, które go do pewnego stopnia zakrywało, nie mógł posuwać się w postawie prostej bez narażenia się na niebezpieczeństwo. Przypuszczał, że z tej strony rowu nieprzyjaciel nie rozstawił straży; oglądając się dokoła, nasłuchując pilnie nie dostrzegł nic i nie dosłyszał żadnego podejrzanego ruchu. Sądził więc, że do rowu dostanie się bez żadnej bezpośredniej przeszkody i że niebezpieczeństwo grozić mu może tylko od straży, rozstawionych niewątpliwie na szczycie szańca. Ale liczył na noc ciemną i na wiatr, który wiał od Woli.

Wychodząc ze zboża, położył się prawie na ziemi i na czworakach począł się naprzód posuwać. Niełatwa to była sprawa; najpierw dlatego, że trzeba było w ten sposób dość znaczną przebyć przestrzeń, a potem, że co chwila spotykał liczne doły, widocznie granatami powyrywane i całe stosy faszyny porozrzucanej wszędzie dokoła. Przy tym przeszkadzał mu płaszcz płaczący się między nogami, porywany przez wiatr, przeszkadzał karabin, którego rzucić nie mógł i nie chciał. Zmęczył się i spociał mocno, nim uszedł w ten sposób połowę drogi. Dowłókszy się do dużej kupy faszyny, zakryty nią od strony reduty usiadł, żeby nieco odpocząć i rozpatrzyć się w położeniu.

Przede wszystkim spojrzął spoza faszyny na redutę. Wśród nocy wznosiła się ona wysoko ciemną masą i wydawała się dość bliską. Linia jej szczytu wyraźnie odbijała się na bladym tle horyzontu. Nagle zdawało się Wiertelawiczowi, że na tym szczycie dostrzega jakiś ruch, jakby cień jakiś się przesuwiał, a zaraz potem usłyszał przeciągłe, znane mu dobrze nawoływanie się straży. Widocznym więc było, że wprost tego miejsca, gdzie on siedział ukryty, znajdowała się na szanccu warta. Oczywiście nie było to bardzo pocieszające, ale trudno już było zmieniać kierunek, a potem nie było żadnej pewności, czy o kilkanaście kroków dalej także nie napotka się straży, które zapewne gęsto są rozstawione na szanccu. Wreszcie skoro go dotąd nie dostrzeżono, to dzięki ciemności, może i później nie dostrzegą.

– Najlepiej pęzać dalej prosto! – pomyślał.

Macając rękami dokoła, natknął się na coś twardego i wkrótce przekonał się, że to czerep granatu, jednego z tych, jakimi w czasie szturm Prusacy obficie zasypywali redutę. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl, która go zimnym potem oblała.

Przypomniał sobie mianowicie, że podczas tego szturm nie wszystkie granaty pękały, że wiele z nich zarywszy się w ziemi w tych miejscach, gdzie on się teraz znajdował, pozostawały nie wybuchnawszy wcale. Dość napatrzył się na granaty w szanccu powązkowskim i nasłuchał się o nich od starego sierżanta artylerzysty, wiedział więc, że taki granat, który padł

² Kości zostały rzucone

nie wybuchnąwszy, zawiera w sobie cały nabój i czasem przy najmniejszym potrąceniu pęka i sieje dokoła zniszczenie. Nuż on na taki granat natrafi, o co nietrudno w nocy!

– Ha! niech będzie, co chce – szepnął – cofać się nie mogę!

Przeżegnał się jeszcze raz i na czworakach wysunął się spoza faszyny. Zachowywał jednak teraz tę ostrożność, że wprzód nim ręką oparł się o ziemię, macał delikatnie dokoła, żeby nie natrafić na granat.

– Ale cóż mi z tego przyjdzie – pomyślał sobie – że teraz szczęśliwie dostanę się do rowu. Z powrotem, gdy będę musiał uciekać, co mi tylko sił starczy, nie będę miał czasu macać, gdzie granat leży lub nie. Wpadnę na który i rozszarpie mię na części. Że też o tym wprzód nie pomyślałem. Hm! stało się, teraz nie czas nad tym się zastanawiać.

Pełzając, zrezygnowany na wszystko i, dziwna rzecz, zupełnie spokojny, co chwila podnosił głowę i patrzył na szczyt szanca, czy cień warty się nie zatrzymuje. Ale nic; spokój w reducie panował zupełny i co chwila tylko słychać było przeciągłe, żałośliwe nawoływanie się straży. Ten spokój, ta cisza dodała Wiertelewiczowi otuchy; posuwał się teraz śmielej i pewny był, że swego dokona.

Tak niepostrzeżony dostał się nad sam brzeg rowu, który dzielił go od szanca i od straży na jego szczycie.

Teraz poczyniała się najtrudniejsza część zadania. Ściany rowu były strome, prostopadle wykopane i spuszczenie się na dół, wobec konieczności zachowania wszelkich ostrożności i ciszy, było bardzo trudne. Na szczęście szturm ostatni zniszczył tę stromość i spadziłość ścian rowu; kule je porały, kolumny pruskie idące do ataku wyłobily całe drogi, stosunkowo dość wygodne, liczne faszyny ułatwiały zstępowanie. Wiertelewicz usiadł na skraju rowu, popatrzał na szaniec, nogi spuścił na dół i kolbą karabina począł macać ściany. Natrafiwszy na jakiś występ w ścianie, lekko się spuścił, stanął na nim i zachowując dalej ostrożność, dostał się szczęśliwie na dno rowu. Ale ledwie tu stanął, a raczej ugrzązł w błocie i wodzie, która plusnęła głośno, poruszony cały stos faszyny wiszący na jakimś występie ściany z trzaskiem i szumem spadł na dno.

Śmiertelna trwoga ogarnęła Wiertelewicza. Usiadł na błocie, przytulił się do ściany i słuchał, czy ten niezwykły hałas nie zwrócił uwagi straży. Jakoż niebawem z góry szanca, tuż nad nim rozległ się donośny, chrapliwy głos:

– Wer da!

Rzecz prosta, że Wiertelewicz na pytanie to nie odpowiedział. Wstrzymał dech w piersi, przytulił się do ściany i siedział tak nieruchomy, skamieniały. Warty stąd nie widział, więc nie mógł domyślić się, co ona robi i co przedsięwzię. Upłynęło tak kilka nieskończenie długich minut. Zdawało mu się, przypuszczał, że inaczej być nie może, iż straż zaalarmuje redutę, że wysypią się ze światłem liczne tłumy żołdactwa pruskiego, że zejda do rowu, nieproszonego gościa znajdując i zabijają.

Ale jakoś tego wszystkiego nie było. Cisza panowała taka sama jak przedtem, niczym nie zamącona. Przesiedział jeszcze jakiś czas pod ścianą rowu i wywnioskował sobie bardzo logicznie, że warta odgadła przyczynę trzasku, tj. spadnięcie faszyny, ale nie przypuszczała, by powodem tego spadnięcia był człowiek. Z tym wszystkim uważał za konieczne nie ruszać się jeszcze ze dwa pacierze, by straż ostatecznie w swym przypuszczeniu się utwierdziła i uspokoiła.

Gdy mu się wydawało, że dość długo już siedzi, podniósł się i z największą ostrożnością ruszył w poprzek rowu, by dostać się do podnóżka szanca. Stąpał wolno, próbując wprzód nogą gruntu, starając się nie wywoływać najmniejszego szelestu. Droga była ciężka, pełna wody i lepkiego błota, w którym Wiertelewicz wężnął po kostki, a za każdym wydobyciem nogi błoto wydawało charakterystyczne chlupnięcie. Ale na szczęście wiatr wpadając w wąski rów świszczął tak rozgłośnie, że te chlupnięcia zagłuszał. Bądź co bądź gwardzista nasz do-

stał się szczęśliwie na drugą stronę rowu, pod sam szaniec, oparł się o niego, pewny że teraz już go warta nie dostrzeże.

– Ale gdzie jest okienko do lochu z prochami? – zadał sobie pytanie.

Rozpatrując się, o ile można było, w nieprzejrzanym wśród rowu ciemnościach, kombinując różne zapamiętane okoliczności przyszedł do przekonania, że nie może ono znajdować się daleko od niego i że prawdopodobnie mieści się po prawej jego stronie. Puścił się więc w prawo, wzdłuż szanca, macając go bacznie rękami i nie uszedł czterech nawet kroków, gdy natrafił na kraty żelazne.

Znalazł więc loszek z prochami.

ROZDZIAŁ XX

O dalszych przygotowaniach Wiertelewicza, o uchu Tomka i czapce księdza.

Wiertelewicz, odnalazłszy okienko do loszku z prochami, uczuł szczerze zadowolenie, jakiego doznajemy, ilekroć nam się uda dokonać trudnego dzieła. Nie wątpił ani na chwilę, że okno to prowadzi do piwnicy z amunicją, bo cóż by ono robiło w szańcu przeznaczonym do obrony? A przy tym przypomniał sobie, że kiedy obchodził cały rów, gdy jeszcze reduta była w polskich rękach, to tylko to jedno okienko zauważył.

Bezwarunkowo więc dobrze trafił i szepnął do siebie:

– Chwała Bogu!

Obmacał starannie rękami kraty, przytknął ucho do okienka, czy z wewnątrz jaki głos go nie dojdzie, a nie usłyszawszy nic podejrzanego, zabrał się do ostatecznego uwieńczenia tyłu mozołów, trudów i niebezpieczeństw. Wydobył więc z kieszeni lont nasiarkowany, rozwinął go starannie i wpuścił jeden koniec wewnątrz lochu. Lont spadł niezbyt głęboko i zatrzymał się widać na jakimś przedmiocie; czy na beczce z prochem, czy na piramidzie granatów, którą Wiertelewicz widział tu dawniej za swej bytności w szańcu – trudno to było teraz wiedzieć. Drugi koniec lontu owinał koło kraty, żeby cały nie spadł i tak, żeby z zewnątrz nie można było dostrzec ognia; poczym wydobył ślepą latarkę, roztworzył ją i spostrzegł, że gdyby jeszcze ćwierć pacierza się opóźnił, cienka świeczka byłaby się do cna wypaliła.

Teraz przeżegnał się i płomień przytknął do lontu. Zapalił on się w jednej chwili, sycząc i przyskając iskrami dokoła.

Wiertelewicz świecę zgasił i wiedząc, że nie ma ani chwili czasu do stracenia, zabrał się do odwrotu. Szybko przebiegł rów, zachowując jednak wszelkie możliwe otrożności, więznąc w błocie, pluskając wodą, którą napotykał po kałużach. Na szczęście wiatr wzmógł się, świszczął i wył ciągle przeraźliwie w ciasnej szyi rowu, tak że zagłuszał kroki umykającego, który śpieszył się, ile mógł, by razem z Prusakami nie wylecieć w powietrze.

Najtrudniejszą i najniebezpieczniejszą była sprawa wydobycia się z rowu, po stromej jego ścianie zewnętrznej. Wiertelewicz doskonale to rozumiał, lękał się, by znów zawieszony gdzie faszyny nie strącić i hałasu nie narobić. Ale na to środka już nie było i bądź co bądź należało jak najprędzej wydobyć się z rowu. Począł się więc drapać pod górę, czepiał się śliskiego miękkiego gruntu rękami i nogami, parę razy zsunął się na dół, wreszcie po straszli-

wych wysiłkach wydobył się na wierzch. Był tak zmęczony, że usiadł na chwilę i obejrzał się za siebie. Szaniec jak przedtem był milczący i groźny, ale rysował się już wyraziście, gdyż za nim na wschodzie niebo bieleło; widocznie świt był bliski. Na tym mętym, bladawym tle dostrzegł ruchliwą sylwetkę straży, przechadzającej się miarowym krokiem po szczycie szczyca i widocznie niczym dotąd nie zaniepokojonej.

Wreszcie spojrzął w dół, na okienko, w które lont był wpuścił. Ku wielkiemu swemu przerażeniu spostrzegł, że całe okienko jest w ogniu, cały loch purpurowy blask rzucał na dno rowu, na kałuże wody i blask ten kładł się bladą, różową poświatą na przeciwległej ścianie rowu. Oczywista rzecz, że ten odblask straż spostrzeże, musi spostrzec, co zresztą mniejsza, ale największe niebezpieczeństwo zagrażało od samego lochu. Widocznie coś się tam od lontu zapaliło, wybuch lada chwila może nastąpić i pogrzebie jego, Wiertelewicza, razem z Prusakami w jednej ogólnej mogile. Ta myśl tak go przeraziła, że nie zważając na nic, porwał się na równe nogi i przez pusty stok szczyca, przez który poprzednio pełzał na czworakach, teraz począł biec jak szalony. Było to tym niebezpieczniejsze, że wczesny letni świt rozwidnił już nieco ciemną dotychczas noc i uciekający mógł być łatwo spostrzeżony. Ale nasz gwardzista zdjęty panicznym strachem nie myślał o tym, jak nie myślał o owych granatach rozrzuconych po stoku, które uciekając mógł nogą potraścić i spowodować wybuch.

Nagle rozległ się za nim, ze szczytu szczyca donośny, grzmiący głos:

– Halt! wer da?

Widocznie straż go dostrzegła. Znajdował się wtedy w połowie drogi przez nagi stok. Miał przed sobą jeszcze ze trzydzieści kroków, by dobiec do żyta i w nim się ukryć. Oczywiście na pytanie straży niemieckiej trzykrotnie, coraz donośniej powtórzone nie odpowiadał wcale i nie myślał na jej rozkaz zatrzymać się, nie oglądał się nawet, tylko uciekał. Wiatr wydymał mu płaszcz, buty obciążone błotem z łoskotem dudniły po czerepach granatów, kul, kamieni i najrozmaitszych szczątków rozrzuconych dokoła. Uciekał, uciekał, co miał sił.

Nagle kula świsnęła koło uszu Wiertelewicza i rozległ się przeciągły, grzmiący huk. Sądząc, że to nie straż ze szczytu szczyca strzeliła, ale że już nastąpił wybuch prochów w lochu, do czego przyczynił się huk bardzo silny, rozlegający się donośnie tysięcznym echem w ciszy świtającego dnia, uciekający tak się przeraził, że nogi pod nim się zachwiały, potknął się o coś i runął na ziemię. W tejże chwili tuż przy nim rozległ się huk drugi, uczył straszny ból w ręce i stracił przytomność; nie wiedział, co się koło niego działo...

Obudził się pod wpływem nieznośnego bólu, roztworzył oczy i ujrzał przede wszystkim, że dzień był już widny, choć słońce dopiero wschodziło i purpurą oblewało całe niebo. Dokoła niego wszędzie grzmiały armaty, jakby furie piekielne wywarły swą zemstę na tę nieszczęśliwą ziemię, pod tym jasnym, ślicznym niebem wczesnego poranku letniego. On sam leżał niewygodnie, choć miał podeślane płaszcze na dwóch deskach, które nieśli ksiądz, Wieprzowski, Franek, Tomek i Gugenmus.

Patrzył na to wszystko i nic nie rozumiał. Zauważył tylko, że Tomek ma głowę przewiazaną zakrwawioną chustą, że ksiądz jest bez czapki, a po Gugenmusie, który szedł pod deskami we środku, krew silnie spływa. Zauważył dalej, że niesiono go środkiem znanej mu lipowej alei prowadzącej od Woli do Powązek i że z szczyca powązkowskiego, który stąd widać było doskonale, co chwila unosił się biały dymek, a potem rozlegał się huk. Widocznie bito z dział. Na razie nie mógł pojąć, co to wszystko znaczy i dlaczego niosą go na tych twardych deskach. Ale ból w prawej ręce przywrócił mu pamięć.

Przypomniał więc sobie swą nocną wyprawę do szczyca wolskiego dla wysadzenia Prusaków w powietrze, przypomniał swą ucieczkę, wołanie straży, huk, świst kuli, swój upadek, huk powtórny, taki sam ból dojmujący, jak teraz. Cóż się więc stało?

Podniósł z trudnością głowę, tak się czuł osłabiony, iż zapytał cichym głosem:

– Dokąd wy mnie niesiecie?

– Obywatele, o! obywatele! – zawołał na to Gugenmus, który szedł najbliżej głowy Wiertelewicza – czy słyszycie? Nasz ranny się odzywa, odzyskał przytomność. Niechże będzie Imię Pańskie błogosławione!

– Bogu dzięki! – rzekł na to ksiądz – ale Jacuś nie odzywaj się, leż spokojnie! nie utrudniaj nam pochodu. Spieszyc musimy, bo najpierw jesteś ciężko ranny i krew ci uchodzi, a potem kule tu świszczą jak osy; Tomkowi drugie ucho ustrzelili, a mnie znów czapkę...

W rzeczy samej Wiertelewicz zauważył, że od strony szanca wolskiego grad kul sypie się aleją lipową, strąca gałęzie i liście; skoro więc Prusacy od tamtej strony strzelają, to znaczy się, że szaniec wolski nie wyleciał wcale w powietrze. Cóż się więc stało?

Ale nie pytał już wcale. Zdawał sobie doskonale sprawę z położenia; świst kul syczących wśród lip, zanurzających się z głuchym łoskotem w pnie drzew, w piasek drogi, którego całe masy wyrzucały w górę, przekonywał go, że niebezpieczeństwo jest poważne i ocalenie jego i towarzyszy, którzy go nieśli po bohatersku, zależy od pośpiechu. Milczał więc, patrzył i słuchał, i mimo woli jęczał, tak straszny ból dokuczał mu w prawej ręce.

Niebawem niosący go skreśli z drogi w prawo, na ścieżkę między zagonami zasadzonymi kapustą, bobem i słonecznikami. Słońce coraz wyżej się podnosiło i wielkie kwiaty słoneczników zwracały się doń swymi złocistymi koronami. Mnóstwo motyli unosiło się w powietrzu, ranek był ciepły, cichy, piękny. I w tę radosną ciszę natury wpadał grom dział, sypał się grad kul niszczących wszystko!

Tu, na otwartym miejscu niebezpieczeństwo o wiele było większe niż w alei lipowej, ale na szczęście niedaleko były domy, gdzie widniały bagnety gwardii narodowej, błyszczące pod słońce jak srebro. Dążono więc szybko i właśnie już dopadano domów, gdy kula uderzyła w słonecznik i obsypała Wieprzowskiego rozbitymi liśćmi złotego kwiatu.

– Bodaj cię wciurności! – mruknął.

Na koniec dobito się cało i zdrowo do miejsca bezpiecznego. Tu już stały wozy i bryczki z żywnością, amunicją i dla rannych. Na jeden z takich wozów włożono biednego Wiertelewicza, który znowu omdlał z upływu krwi i stąd powstałego osłabienia sił. Obok niego usadzono Tomka bez drugiego ucha, które mu kula urwała i księdza, pozbawionego znowu nakrycia swej „łepety”. Przysiadł się także Gugenmus, zmęczony niesłuchaniem, wyczerpany nocnymi przygodami zbyt nużącymi na jego wiek. Wieprzowski zaś i Franek zostali, przyłączywszy się do napotkanego oddziału gwardii narodowej, której szeroko poczęli opowiadać, zwłaszcza majster rzeźnicki, o swych nowych przygodach.

Tymczasem Wiertelewicza powieziono wolno i ostrożnie do lazaretu w Pałacu Radziwiłłowskim. Pocziwa siostra Anastazja poznała go zaraz, jak również Tomka i uznać się poczęła nad ich losem nieszczęśliwym. Przyszedł też zaraz doktor Drozdowski i zajął się opatrzaniem Jacusia. Pokazało się, że granat, który wybuchnął w chwili, gdy upadł na stoku szanca wolskiego, strząsał mu dłoń u prawej ręki, urwał trzy palce i poszarpał bok. Doktor opatrując milczał i trzeźwił chorego co chwila omdlewającego, kiwając powątpiewająco głową.

– Czy pan doktor sądzi, że jest źle? – spytał ksiądz.

– Hm! hm! w istocie tak sądzę. Strasznie dużo utracił krwi i rana przy tym gorącu jest niebezpieczna. No... zrobi się co można, może Bóg da, że młodość zwycięży.

Przykro się bardzo zrobiło księdzu, Tomkowi i Gugenmusowi, ale na to już nie było rady. Wiertelewicz, opatrzony, umieszczony w wygodnym łóżku, zasnął, a ksiądz i Gugenmus wynieśli się, obiecując Tomkowi, że za parę godzin wrócą.

ROZDZIAŁ XXI

Gugenmus nuci starą pieśń konfederacką i opowiada heroiczne swe czyny pod szańcem wolskim.

W kilka godzin potem zjawił się w lazarecie Radziwiłłowskim przy łożu Wiertelewicza wyświeżony, wygolony, w nowe strojne suknie przybrany obywatel Gugenmus. Perukę miał na nowo upudrowaną, elegancki kapelusik pod pachą, jedwabne, złocistego koloru pludry, pończochy, trzewiki z fontaziami i srebrnymi sprzączkami. Został chorego przytomnym, a nawet weselszym. Rana starannie opatrzona nie dolegała mu, a o wątpliwościach lekarza Drozdowskiego nie wiedział, sądził więc, że niebezpieczeństwo żadne nie grozi.

– Jakże się czujesz, obywatelu? – spytał Gugenmus gwardzistę.

– Nieźle! Mam nadzieję, że wkrótce się wyliżę i Prusaków dalej prac będę. Ojoj! jakże ich za to będę prał! Ale dobrze, żeś aspan przyszedł, bo rad bym przecież raz się dowiedzieć, jak i co się stało? Gdzieście mnie znaleźli? Czy reduta wyleciała w powietrze?

– Zaraz ci to, obywatelu, wszystko opowiem – odrzekł Gugenmus – tylko usiądę. Ta bohaterska wyprawa nocna zmęczyła mnie bardzo. Nie dziw, stary jestem, ale nie żałuję, nie mogę żałować tego, com uczynił. Do końca życia będę miał chlubne i heroiczne wspomnienie.

Przysunął sobie drewniany, szpitalny zydel do łóżka Wiertelewicza i dobywając z kieszeni swego długiego, piaskowego koloru surduta szkatułkę grającą, rzekł z uśmiechem:

– Wszelako, nim rozpocznę moje opowiadanie, pozwól, o! obywatelu gwardzisto, że nakręcę moją szkatułkę, tym razem nie na nutę poloneza, ale na nutę starej pieśni konfederackiej sprzed lat trzydziestu.

– Nakręc waćpan i graj – rzekł Wiertelewicz – byle nie długo, bom ciekawszy historii naszej wyprawy niż wszystkich pieśni konfederackich.

– Wybacz, o! obywatelu gwardzisto, że nie podzielę twego zapatrywania się na rzeczy. Ta pieśń, którą śpiewali nasi ojcowie przy obronie Częstochowy, Tyńca, Lanckorony, Okopów św. Trójcy, Baru i tylu innych miejsc, jest pieśnią piękną, co mówię?... wspaniałą i nastroi nasze dusze odpowiednio do heroicznych czynów, które chcę opowiedzieć.

– Nastrajaj waćpan, nastrajaj, tylko prędko!

Ale w tejże chwili w izdebce, w której leżał Wiertelewicz, zjawiła się siostra Anastazja i słysząc głos rannego zawołała z progu:

– Mospanie gwardzisto, doktor zakazał mówić i dlatego proszę, żeby ten jespan, który przyszedł waćpana odwiedzić, jak najprędzej stąd poszedł.

Mówiąc to wskazała na Gugenmusa. Ale ten zerwał się z krzesła i składając przed siostrą Anastazją szarmancki ukłon rzekł:

– Racz wybaczyć o! czcinajgodniejsza obywatelko, ale wyjść stąd nie mogę. Nasz drogi ranny rozchorowałby się jeszcze bardziej, gdybym mu nie opowiedział tych wszystkich bohaterskich czynów, jakich nocy dzisiejszej dokonał on i towarzysze, do których grona, jak mię tu widzisz, o! czcinajgodniejsza obywatelko, i ja miałem zaszczyt należeć.

– A co mię tam to wszystko obchodzi, proszę jespiana – odrzekła siostra Anastazja – doktor choremu zakazał mówić i mówić nie powinien.

– On też nic mówić nie będzie, tylko słuchać. Najprzód wysłucha prześlicznej pieśni konfederackiej, a potem tego, co mu opowiem ja, obywatel Gugenmus, do usług waszych, o! czcijnajgodniejsza obywatelko!

To rzekłszy skłonił się z elegancją i począł szybko nakręcać szkatułkę. Nim siostra Anastazja zdołała odpowiedzieć, już w pokoju poczęły się snuć wolno ciche, rzewne, kwilące tony starej pieśni konfederackiej, pełne niewysłowionej melancholii i żałości.

A Gugenmus, głosem dygocącym od starości, z oczami wzniesionymi w górę, z których łzy spływały po jego pomarszczonej twarzy, w takt muzyki nucić cicho począł:

„Polska korona wielce strapiona,
Żebrze Twej, Boże, litości,
Jednejże matki niegodne dziatki!
Szarpią jej wnętrzności.
A nieprzyjaciel wziął sobie na cel,
Ach nieszczęśliwa doła!
Z tej znamienitej Rzeczpospolitej,
Uczynić dzikie pola”.

Ale na koniec rozplakane tony szkatułki poczęły się urywać, niknąć, zgrzytnęło w niej coś niemile i cisza zaległa izbę.

– Ojoj! – rzekł Wiertelewicz – rozmiękczyłeś mi waćpan serce tą muzyką i smutną pieśnią niepotrzebnie. No! teraz opowiadaj, jak to było.

Gugenmus wziął szkatułkę, wsunął ją starannie w stary pokrowiec z czarnego sukna, schował do kieszeni, obtarł ukradkiem załzawione oczy i siadając na krześle rzekł:

– Muszę ci najprzód powiedzieć, obywatelu, że nasza wyprawa, a zwłaszcza twoja, tylko w części się udała.

– Jak to w części?

– A tak, w części, bo wybuch prochów przez ciebie zapalonych zaledwie kawałeczek i to niewielki szanica obalił, a, jak się zdaje, ani jednego Prusaka nie zabił.

– Co aspan mówisz, nie może być! – porwał się Wiertelewicz, ale wraz upadł na poduszki sycząc z bólu.

– Nie ruszaj się, obywatelu – rzekł Gugenmus – i nie mów nic, bo dbając o twoje zdrowie będę zmuszony przerwać moje opowiadanie. Leż więc spokojnie i słuchaj. Wszystko ci opowiem, ale po kolei.

– Słucham.

– Otóż, obywatelu, skoroś od nas odszedł z owego domu należącego do krewniaka obywatela Wieprzowskiego, zrobiło się nam bardzo markotno. Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, gdy nagle obywatel ksiądz Karolewicz zauważył, że tak w bezczynności siedzieć nie powinniśmy i nie możemy, kiedy ty, obywatelu, narażasz życie; że wczoraj przyrzekliśmy doprowadzić cię pod sam szaniec wolski i w razie potrzeby dać pomoc; że należy natychmiast za tobą wyruszyć i na rowie czekać na ciebie...

– Już cię tak było umówione – wtrącił Wiertelewicz – aleśmy o tym wszyscy zapomnieli; i mnie by łatwiej było. Chociaż kto wie – dodał po chwili – może by nas byli prędzej spostrzegli, straż była bardzo czujna...

– Otóż to... otóż to! – ciągnął Gugenmus – ale myśmy o tym nie wiedzieli i na słuszną, jak nam się zdawało, uwagę obywatela księdza zgodziliśmy się, tak że postanowiliśmy za tobą wyruszyć. Obywatel Wieprzowski podjął się nas prowadzić, bo zrobiło się nagle tak ciemno, że na trzy kroki przed sobą nic nie widzieliśmy... Ale poprowadził nas źle, zupełnie źle i wleźliśmy na jakieś błoto czy bagnisko, z którego z wielkim trudem i ze znaczną stratą czasu ledwie zdołaliśmy się wydobyć. Wreszcie obywatel Wieprzowski zorientował się, poprowadził nas przez zboże i przybyliśmy na stok szanców w chwili, gdy rozległ się groźny okrzyk

straży: „Wer da!” Świt się już robił i było nieco widniej, dlatego widzieliśmy ciebie, obywatelu, jakieś biegł co sił, jak straż do ciebie dała ognia, jakieś upadł i obok ciebie wybuchnął granat, który cię ciężko poranił. Wszystko to widzieliśmy i możesz sobie wyobrazić, jak silnie to na nas wrażenie zrobiło.

Tu Gugenmus odetchnął, obtarł spocone ze wzruszenia czoło i tak dalej ciągnął:

– Obywatel ksiądz Karolewicz, widząc, co się dzieje, krzyknął na nas: chłopcy! naprzód! trzeba ratować Jacusia!

– Poczwiwy ksiądz! – mruknął Wiertelewicz.

– Franek, Tomek i Gugenmus niech nas zasłaniają i na ogień Prusaków ogniem odpowiadają, podczas gdy ja z Wieprzowskim weźmiemy Jacusia i nieść go będziemy, jeżeli jeszcze żyje.

– Skoczyliśmy tedy naprzód, ale w tejże chwili rozległ się huk głuchy, jakby spod ziemi się wydobywający, z rowu wystrzelił wysoki słup purpurowego ognia i masa czarnego dymu zasłoniła nam widok szańca.

– Reduta wyleciała w powietrze! – krzyknął ksiądz Karolewicz! – Dzielny Jacuś! Spieszmy do niego!

W reducie tymczasem powstała straszna wrzawa, krzyki, granie na trąbkach, nawoływanie, co wszystko świadczyło, że reduta nie wyleciała w powietrze i w rzeczy samej, niestety!, nie wyleciała...

– Ale jakże to być mogło! – porwał się znów Wiertelewicz – chyba prochów w loszku nie było?

– Nie, obywatelu gwardzisto – odrzekł na to Gugenmus – proch był, być musiał, skoro wybuch nastąpił, tylko tego prochu było tak niewiele, że szkody Prusakom nie zrobił. Gdy dym opadł, cofając się widzieliśmy szaniec poszarpany nieco, ale bądź co bądź stojący. Być może, iż do tego przyczyniła się jego budowa mocna, z gliny, która stwardniała pod wpływem słońca jak gład i silny opór stawiała wybuchowi.

– No! no! no! – dziwił się Wiertelewicz – ani chybi, że prochu było tam mało, może jedna beczułka, a może tylko kilka funtów. Ojojoi! szkoda było naszego zachodu.

– Zapewne że szkoda, ale któż mógł to przewidzieć? Powiedz, obywatelu, czy mógł to ktośkolwiek przewidzieć? Byłeś ranny, nieprzytomny, zlany krwią, ale ksiądz Karolewicz wołał, że żyjesz i niósł cię z obywatelem Wieprzowskim, a my trzej, to jest ja, Gugenmus, obywatel Tomasz Landikier i obywatel Franciszek Wiśniewski, zasłanialiśmy ten odwrót bohaterski. Na szańcu zaroilo się od Prusaków i rozpoczęli do nas gęsty ogień, zrazu karabinowy, a potem nawet armatni. Odpowiadaliśmy im z naszych trzech karabinów, jakieś mogli, a jestem pewny, że grankulkami z mej strzelby sprzątnął jakiegoś krzyczącego głośno oficera pruskiego. Tak, stawiliśmy bohaterski opór! Ale, niestety, pruska kula urwała drugie ucho obywatelowi gwardziście Tomaszowi, jedyne, jakie mu pozostało i teraz biedak nie ma wcale uszu; zerwała i uniosła czapkę obywatelowi księdzu, trzecią już z rzędu w ciągu tego czasu...

Na szczęście dostaliśmy się do zboża, potem między krzaki i żywi dotarliśmy do zabudowań krewniaka obywatela Wieprzowskiego. Tu wyrwaliśmy z parkanu parę desek, ułożyliśmy ciebie, obywatelu, ciągle omdlałego i spiesznie wyruszyliśmy dalej, bo lękaliśmy się, że Prusacy mogą za nami w pogoń wysłać swych kirasjerów. Ale i ta obawa wkrótce znikła, gdy na huk strzałów pruskich wszystkie nasze szańce i okopy rozpoczęły ogień armatni. Huk był tak straszny, że go nigdy w życiu nie zapomnę. Możesz sobie, obywatelu, wyobrazić, jakie niebezpieczeństwo nam groziło, bo i od kul swoich i od pruskich, ale Bóg, który dzierży w swym ręku losy ludzkie, nie pozwolił, byśmy zginęli. Ocaliliśmy i co najważniejsza, ocaliliśmy ciebie także. Tu Gugenmus przerwał i otarł pot z czoła. A właśnie roztworzyły się drzwi i wszedł ksiądz Karolewicz wołając z proga:

– Jacuś! jak się masz?

ROZDZIAŁ XXII

Jak biedny Wiertelewicz umierał przy dźwięku starej pieśni konfederackiej.

Ale poczciwy Jacuś źle się miał, niestety! Doktor Drozdowski i siostra Anastazja, opatrując mu ranę co dzień, kiwali bardzo znacząco głowami i widocznie byli mocno zaniepokojeni stanem chorego. Na nieszczęście wraz z poczynającym się sierpniem zapanowały niezwykle gorąca i susze, które wprawdzie dręczyły mocno Prusaków oblegających Warszawę, bo im wody po obozach brakło i jeździć po nią musieli daleko, ale także źle wpływały na ranę Wiertelewicza.

On sam tego nie spostrzegał i był jak najlepszej myśli. Ucieszył się niezmiernie, gdy mu w parę dni po wyprawie ksiądz Karolewicz przyniósł „Gazetę Warszawską”, w której wydrukowany był rozkaz dzienny do wojska narodowego samego Naczelnika. W rozkazie tym opisana była wyprawa „sześciu bohaterów”, jak ich nazywano, pod szaniec wolski i wymienione były ich nazwiska. Wszyscy oni obdarzeni zostali pierścieniami od Naczelnika z napisem: „Ojczyzna obrońcy swemu”.

W kilka dni potem otrzymał Jacuś patent na oficera gwardii narodowej, podpisany przez samego Naczelnika.

Sława jego i jego towarzyszy rozbiegła się po całej Warszawie, odwiedzało go też ciągle mnóstwo osób, jak ks. Hugo Kołłątaj, jak pan Wyszogota Zakrzewski, prezydent Warszawy, jak generał Orłowski, komendant miasta. Mnóstwo dam obdarzało go łakociami, cienką bielizną, szarpkami i różnymi podarunkami.

– Ojoj! – mówił śmiejąc się – już mi teraz ptasiego chyba mleka brakuje.

Najmilszymi jednak były dlań odwiedziny jego towarzyszy, którzy co dzień doń zaglądali i przynosili mu nowiny z miasta i wieści o oblężeniu. Żartował sobie z nich, śmiał się z księdza Karolewicza, gdy zjawił się u niego w nowej czapce aksamitnej.

– Ja żebym był na miejscu księdza – mówił – tobym sobie kazał rzemyki przyszyć do czapki, żebym jej znowu nie stracił od kuli szwabskiej.

A niech Pan Bóg sekunduje tym Prusakom – odpowiadał ksiądz, śmiejąc się – ale że mi szkody narobili, to narobili, trzy czapki przez nich postradałem. Ale masz rację, Jacuś. Jak pójdziemy na jaką nową wyprawę, to sobie każę takie rzemyki przyszyć, żeby znów czapki nie postradać.

Żartował sobie też Wiertelewicz i z Tomka bez drugiego ucha, bo choć się rana prędko goiła, markotny był, że go tak Prusaki oszpeciły i mówił, że będzie musiał długie włosy zapuścić, żeby tak ważnych braków twarzy nie było widać!

– Ojoj! – wołał śmiejąc się Jacuś – będziesz wyglądał, mój Tomku, na panicza, na hrabię jakiegoś z taką długą czupryną. Jużci ostatnie hycle te Prusaki, żeby takiego porządnego obywatela, jak ty, Tomku, tak szkaradnie oszelmować. I gadaj co chcesz, ale gdybym był na twoim miejscu, to bym napisał do króla pruskiego, uszu i suplikę bym też czułą wygotował, żeby srodze swemu wojsku zakazał strzelania do słuchów tak godnego jak ty obywatela warszawskiego.

Tomek śmiał się i odpowiadał:

– Po co pisać, już mi teraz żadnego ucha nie ustrzelą, bo ich obu nie ma.

Przychodził też Franek, ale ten był tak zajęty wojną, że tylko o Szwabach rozpowiadał, a wtedy oczy mu się świeciły jak dwa ogniki. Właśnie w początkach sierpnia Prusacy przypuścili zacięty szturm do szańca powązkowskiego, ale zostali odparci ze znacznymi stratami i Franek, który w tej walce brał udział, opowiadał jej szczegóły, a także następny atak polski na Szczęśliwice. W zapale potrzasał rękami, był piękny nieomal ze swą ognistą naturą. Wiertelewicz, słuchając tego, kręcił się niespokojnie na łóżku i mruczał:

– Ach, czemuż mnie tam nie było! kiedy ja wstanę, kiedy będę zdrowy?

Siostra Anastazja, widząc, że po takich odwiedzinach Franka ranny był niespokojny i gorączka się wzmagała, rzekła raz gniewnie:

– Zapowiadam jespanom, że jak jeszcze raz przyjdzie ten jespan taki wysoki, co go Frankiem zowiecie, to go z przeproszeniem za drzwi wyproszę.

– Ach, czcigodna obywatelko – odpowiedział na to Gugenmus, który prawie całe dni przesiadywał przy Wiertelewiczu – racz wysłuchać mej gorącej i najpokorniejszej zarazem prośby.

– Jakiejże to? – pytała siostra.

– Nie nazywaj nas jespanami, tylko obywatelami.

– Ej, jegomość masz już ze sześćdziesiąt lat, a jeszcze ci się jakieś głupstwa trzymają. Czas już się ustatkować, mój jegomość.

I ruszając ramionami wychodziła, zostawiając Gugenmusa na pół przegiętego w ukłonach.

Przynosił on co dzień swą szkatułkę grającą i grał Wiertelewiczowi starą pieśń konfederacką o „znamienitej Rzeczypospolitej”, z której „zostały dzikie pola”, lub poloneza „Boże daj, Boże daj, by zabłysnął trzeci maj”. Melancholia tych tonów słodko koła duszę rannego chłopca i łązy mu wyciskała z oczu.

Niekiedy Gugenmus, oglądając się dokoła, czy siostry Anastazji nie widać, której się bał, wydobywał z kieszeni swego fraka z długimi po kostki połami tabakierkę i stukając w nią palcami nachylał się nad rannym i szeptał:

– Obywatelu oficerze, zażyj tej wybornej francuskiej rewolucyjnej tabaki, ona cię prędzej na nogi postawi niż wszystkie mikstury fizyków. Czytałem w gazetach, że obywatel Robespierre tej tabaki zażywał.

Ale Wiertelewicz nawet ze względu na obywatela Robespierre’a nie chciał korzystać ze szczodrości Gugenmusa, co strasznie martwiło poczciwego zegarmistrza.

Rzadziej się zjawiał Wieprzowski, bo najpierw z powodu wielkiego gorąca i swej potężnej tuszy cierpiał bardzo i nie lubił chodzić, a potem siedział ciągle w okopach, a mianowany przez ks. Józefa Poniatowskiego setnikiem nieustannie strzelał do Prusaków.

– Przy tym widzisz, panie Jacenty – tłumaczył się – nie lubię, mosterdzieju, przychodzić do Warszawy, bo wypada przecie, żebym zajrzał do domu, a tam moja jejmość strasznie mi zawsze głowę skotłuje.

– A cóż ona od waści chce?

– A paralusz ją tam wie, mosterdzieju. Czy to kto kiedy dowie się, co kobieta z przeproszeniem, chce? Zwyczajnie, włosy długie, no... i rozum ten tego... Gada mi, mosterdzieju, żebym oto pilnował domu, a nie wałęsał się po okopach, gdzie, peda, same tylko próżniaki i nicponie siedzą. Ot, babskie gadanie i kwita. Albo to te baby, z przeproszeniem, co rozumieją!

Takim było teraz życie Wiertelewicza. Słuchając opowiadań swych towarzyszy, odczytując gazety, które mu przynoszono, marzył tylko o tym, żeby jak najprędzej wyzdrowieć.

– Jak tylko podniosę się z pościeli – mówił – zaraz pójdę na okopy i będę znów prał tych Prusaków. Ot, księżo – mówił do ks. Karolewicza – odprawcie tam mszę za moją intencję, żebym prędzej wyzdrowiał.

Ksiądz odprawiał mszę, zapewniał chłopca, że lada dzień powstanie, ale w głębi duszy nie miał żadnej nadziei. Doktor Drozdowski wprost mu powiedział, że chory nie pożyje długo, bo rana się nie goi, a co gorsza gangrena się w nią wdaje, na co wówczas środka nie znano.

– Szkoda tego dzielnego oficera – mówił Drozdowski – ale umrzeć musi. Nie on zresztą pierwszy i nie ostatni – dodawał melancholijnie.

Jakoż, niestety, biedny Wiertelewicz gasł powoli, aż zgasł jednego dnia, późnym wieczorem w obecności wszystkich swoich towarzyszy prócz Wieprzowskiego, który od tygodnia nie pokazywał się w Warszawie.

Okno pokoiku Wiertelewicza wychodziło na ogród z tyłu Pałacu Radziwiłłowskiego się znajdujący, skąd prześliczny roztaczał się widok na Wisłę, Pragę i dalekie za nią lasy. Czując, że już umiera, prosił biedny Jacuś, by przysunięto jego łóżko do okna i by je otworzono. Wieczór był cichy, ciepły, niebo wygwieżdzone i właśnie spoza lasów wawerskich podnosiła się olbrzymia tarcza księżycy w pełni, oblewając ją w mglistym półmroku i półświecie.

– Niechże jeszcze popatrzę na świat Boży – mówił słabym głosem – anim się spodziewałem, że mię te Szwabry na śmierć ustrzelą. Ale nie oni mię pono zabili, jeno własna nieostrożność. Trudno, raz trzeba umrzeć, żal mi tylko, że w taki moment umieram...

Nikt mu nie odpowiadał, bo wszystkim żal serce ścisnął, a ksiądz po cichu modlitwy odmawiał. Tomek w kącie rzewnymi łzami się zalewał i tłumił jak mógł łkania serdeczne, które mu pierś wstrząsały. Wszak przeżył z tym umierającym Jacusiem najpiękniejsze, najwznioślejsze chwile swego życia, chwile, których nigdy nie zapomni. Franek stał chmurny i ponury, a Gugenmus po cichu obcierał łzy i na miejscu usiedzieć nie mógł.

Umierającemu coraz bardziej brakowało powietrza, które płynęło szeroką falą do izby przez otwarte okno, ale jego biedne piersi już schwycić go nie mogły. Nagle odezwał się głosem stłumionym, chrapliwym, urywanym:

– Panie Gugenmus!...

– Jestem! jestem! – wołał stary zegarmistrz, nadbiegając z drugiego końca pokoju i stanął nachylony nad umierającym, oblanym srebrzystym blaskiem miesiąca.

– Zagraj mi... zagraj... – szepnął Wiertelewicz – tę starą pieśń konfederacką... Lżej mi będzie przy niej umierać.

Tedy Gugenmus nie mógł już wytrzymać i wybuchnął głośnym płaczem, mówiąc:

– Umierać! umierać tak młodo! o! naturo, jakżeś okrutna! jakżeś nieubłagana!

Wydobył jednak z kieszeni szkatułkę, ustawił ją na stoliku tuż przy głowie konającego, nakręcił i na tle tej cudownej nocy księżycowej, w ciszy konania młodego bohatera kwilić zaczęły te same tony melancholijne, nieokreślonym smutkiem przesiąknięte.

Wiertelewicz uniósł nieco głowę i zdawało się, że całą duszę przelał w te smętne tony. Słuchał, słuchał, a gdy ostatni dźwięk pieśni przebrzmiał w szkatułce, głowę opuścił na poduszki... Już nie żył!

Pogrzeb biednego Jacusia odbył się z niezwykłą wspaniałością. Tłumy ludu towarzyszyły mu, towarzyszył sam Kościuszko konno, w swej białej sukmance chłopskiej, ksiązę Józef, generał Orłowski, prezydent miasta Zakrzewski, cała gwardia municypalna, obywatel Blum na czele swej setki, obywatel Wieprzowski, Heliglas, wszyscy, kto tylko mógł. Nad grobem przemawiał ks. Karolewicz, ale mowy swej dokończyć nie mógł, ho mu łzy nie pozwoliły, czym wywarł tak wielkie wrażenie na słuchaczach, że cały tłum głośno zatkał. Potem gwardia municypalna dała ognia ze swych karabinów i trumnę spuszczone w mogiłę.

Biedny Jacuś! nie doczekał się uroczystej chwili, gdy niedługo potem, w nocy z 5 na 6 września Prusacy na wieść o powstaniu województw wielkopolskich zwinęli swe obozy i ciachaczem wynieśli się spod Warszawy. Tego dnia radosnego, który Warszawa obchodziła w powszechnym upojeniu, nie oglądały już oczy poczciwego Wiertelewicza.

Inni jego towarzysze różne mieli koleje. Ks. Karolewicz po ukończeniu nieszczęśliwym wojny osiadł w klasztorze na Franciszkańskiej ulicy i mało się na świecie pokazywał. Obywatel Wieprzowski wrócił do domu i choć mu „baba kotłowała głowę” siedział i sprzedawać musiał świnie tym samym Prusakom, których tłukł tak niedawno.

Obywatel Gugenmus chodził po dawnemu po mieście, ubrany jak zawsze w perukę, w surdut i zbierał nowinki, szczerzy biorąc udział w losach kraju, który ukochał i który uważał za swój własny.

A Tomek i Franek?

Po złożeniu broni pod Końskimi i Radoszycami pociągnęli i oni za biednymi wychodźcami w dalekie auzońskie kraje, pod błękitne niebo Italii, by tam walczyć pod Mantuą i Trebią i w Rzymie na Kapitolu polskie orły zawieszać...

KONIEC